

**Leon Knabit**

# **Tajemnice zakonu**

*Rozmawia Artur Sporniak*

**Wydawnictwo Literackie  
Kraków 2008**

## **SPIS ROZMÓW**

1. Zabłąkany podróżny
2. Posłuszeństwo
3. Opat
4. Pokora
5. Modlitwa
6. Praca
7. Ubóstwo
8. Gościnność
9. Post
10. Mnich
11. Świat

## 1. Zabłąkany podróżny

„Abba Grzegorz powiedział: „Całe życie ludzkie jest jak jeden dzień dla tych, których trudy płyną z tęsknoty „„„.

Artur Sporniak: Jesteśmy w Tyńcu. Miejsce to wzbudza ciekawość, a nawet fascynację. Jak Ojciec myśli, dlaczego?

o. Leon Knabit: Świat dzisiejszy toczy się zupełnie innym torem niż rzeczywistość, którą ludzie przeczuwają i potem obserwują w Tyńcu. Ten świat jest zdany na ciągły pościg, bieg, poszukiwanie czegoś. Pożądamy sukcesu i jednocześnie narzekamy, że nie wszystko to, co upragnione, jest osiągalne. Często ludzie, którym się naprawdę powiodło, zadają sobie pytanie: po co to wszystko? Właściwie niczego mi nie brak. Czy biec dalej, czy stanąć? Jeśli stanę, czy tym samym nie będę się cofał? Widoczny jest w tym biegu na oślep jakiś bezsens. Tymczasem założony w 1044 roku klasztor tyński trwa do dziś, a wraz z nim wiele innych rozrzuconych po świecie, począwszy od Włoch, gdzie jest kolebka benedyktynów. To zastanawia, jest zagadką, być może jej źródło leży w przeczuciu głębszego sensu. O ten sens często ludzie pytają zakonników. Pokazujemy im wtedy nasze życie - jego regularność, spokój, optymizm, które są nadzieją chrześcijańską. Mówimy o wartości, którą jest Pan Bóg, i o cierpliwości benedyktyńskiej.

W tym świadectwie ważne jest, że prawda - którą w naszym życiu rozpoznajemy i która tak nas fascynuje - przerasta nas wszystkich. Ludzi chyba przyciąga właśnie to: pokora wobec prawdy, zafascynowanie, a nie postawa posiadacza i dystrybutora prawdy. Wśród zakonników, niezależnie od charakteru, temperamentu, wyrobienia i długości pobytu w klasztorze, w gruncie rzeczy trudno jest znaleźć pyszałka. Życie zakonne dość szybko weryfikuje takie postawy. Oczywiście doświadczamy w sobie także mroków wiary, ale jest tutaj przez te tysiąc lat w klasztorze benedyktyńskim przede wszystkim światło wiary. Pewne rzeczy dla mnichów są oczywiste. I ludzie stają zdziwieni. Pytają: - Jaką drogą oni do tego dochodzą? Jak to się dzieje, że są tak pełni pokoju? Modlą się dużo, a jednocześnie jeden zajmuje się świnkami, drugi występuje w telewizji, trzeci jeszcze prowadzi działalność gospodarczą. Niemiecki benedyktyn, ojciec Anzelm Griin, autor poczytnych książek na temat duchowości i psychologii, jest jednocześnie ekonomem klasztoru, więc zajmuje się sprawami gospodarczymi. To ludzi zastanawia. Jak możliwe jest godzenie tego ze sobą?

Zwykła sprawa: spożywanie posiłków. W Tyńcu zasiadamy do nich wszyscy razem, krótko się modlimy, słuchamy fragmentu Pisma Świętego, jemy bez pośpiechu, najczęściej w milczeniu. Goście, którzy uczestniczą w takich posiłkach, odkrywają atmosferę bardzo różną od przeżyć fundowanych przez McDonalds'a...

A jednak, o ile pamiętam, do refektarza w Tyńcu nie wszyscy goście są wpuszczani. Kobiety nie mogą doświadczyć tej szczególnej atmosfery, gdyż jedzą w osobnej sali.

To od pewnego czasu się zmieniło. Rzeczywiście, dawniej w refektarzu obowiązywała ścisła klauzura i kobiety nie miały tam wstępu, podobnie jak mężczyźni w klasztorach żeńskich. Dzisiaj jednak przy okazji świąt i uroczystości klasztornych refektarz jest otwarty dla wszystkich.

Współczesny świat nie ceni wartości i stylu życia, który ojcowie wybrali, a mimo to, a może właśnie dlatego, tacy „odmieńcy” jak mnisi z Tyńca intrygują. Klasztor zaciekawia, ale też onieśmiela. Jeśli tu pukamy, to także z obawą...

Być może boimy się, że konfrontacja z rzeczywistością tu spotkaną obnaży płytkość naszego dotychczasowego stylu życia, do którego bardzo jednak przywykliśmy. Często ludzie atakujący zakonników czynią to w odruchu obrony przed sobą samym. Jest to raczej krzyk doświadczanego bezsensu. Kiedyś trafił do nas człowiek, który - jak się okazało - do sposobu

naszego życia podchodził z lekką drwiną. Mówił sobie: fajnie, będziemy się trochę modlić, jeść, dużo leniuchować - zupełnie niezły sposób na spędzenie wolnego czasu! Po trzech dniach pobytu zawołał: „Cholera, tu wszyscy wierzą!”. Nie wyjechał nawrócony, ale głęboko poruszony.

Sądzę, że zagadka tkwi w trwałości tego sposobu życia. Świat nieustannie się zmienia, a benedyktyni trwają już półtora tysiąca lat i sama istota ich życia pozostaje niezmienna. Ja po prawie pięćdziesięciu latach bycia mnichem wciąż jestem w Tyńcu zakochany. Wciąż mnie zadziwia.

A jednak w swej tysiącletniej historii Tyniec miał długą, ponadstuletnią przerwę. Po klęsce Napoleona, w latach 1821-1826, miało tu siedzibę biskupstwo, przeniesione następnie do Tarnowa, i z czasem budynki klasztorne popadły w ruinę.

To prawda, podczas rozbiorów polscy benedyktyni zostali rozproszeni, ale zgodnie z benedyktyńskim hasłem *sucdsa nirescit* (podcięte, zieleni się na nowo) w wolnej Polsce benedyktyni zaczęli się odradzać. Najpierw w 1924 roku odrodził się klasztor w Lubiniu w Wielkopolsce (pierwotnie założony w 1070). Potem dzięki determinacji belgijskiego benedyktyna o. Karola von Oosta wskrzeszono także Tyniec. Tuż przed wojną w 1939 roku kilku benedyktynów, którzy najpierw znaleźli punkt oparcia w podarowanym przez pobożne panie pensjonacie w Rabce, gdzie prowadzili internat dla chłopców, mogło przeprowadzić się do Tyńca. I od tego czasu opactwo nie tylko samo się rozwija, ale także pomaga, żeby się „zieleniło” gdzie indziej. Dzięki naszej pomocy odrodziło się dawne opactwo Huysburg koło Halberstadt w Niemczech. Odnawia się też życie benedyktyńskie na Słowacji, gdzie ongiś było dwanaście opactw. Obecnie Tyniec przygotował do życia zakonnego dziesięciu Słowaków, którzy mają już mały dom koło Zwolenia i rozpoczęli budowę klasztoru pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego w miejscowości Sampor koło Bańskiej Bystrzycy. W Polsce Lubin stał się już przeoratem konwentualnym, niezależnym od Tyńca, a w Biskupowie na Śląsku Opolskim rozwija się pomyślnie niewielki na razie klasztor, przeorat Zwiastowania Pańskiego.

Po wojnie Tyniec uczestniczył w posoborowej reformie liturgii, pracował też nad nowym tłumaczeniem Pisma Świętego - Biblią Tysiąclecia. Takim niezwykłym dowartościowaniem naszego życia i naszej pracy była ostatnia wizyta Papieża w Tyńcu 19 sierpnia 2002 roku. Stąd pojechał do Balic i odleciał do Rzymu. To ostatnie miejsce, które Jan Paweł II odwiedził za życia w Polsce. Papież powiedział wtedy: „Wiele zawdzięczam Tyńcowi. I nie tylko ja, ale i Polska cała”.

Powróćmy do współczesnego podróznego, zabłąkanego przypadkiem w Tyńcu. Benedyktyni mają mu wiele do zaoferowania. Już pierwsza z propozycji na reklamówce rekolekcyjnej intryguje: „Jeśli masz problem z modlitwą, zacznij pościć. Podczas tygodniowych rekolekcji podejmujemy post ograniczający się jedynie do picia soków i napojów (woda, herbata)”. Dodana jest uspokajająca uwaga, że uczestnicy mają zapewnioną opiekę lekarską. Warunkiem udziału jest chęć pogłębienia życia duchowego. To dość radykalna oferta.

O to należałoby zapytać uczestników.

A czy tacy śmiałkowie w ogóle się znajdują?

Tak, i to sporo. Bardzo wiernie przestrzegają milczenia i postu. Zaznaczam, że motywem nie może być dziwactwo. Oczywiście stan zdrowia musi na taką fizyczno-duchową kurację pozwalać. (Do takich rekolekcji kwalifikuje lekarz). Post musi pomagać organizmowi, a nie niszczyć go. Niektórym ludziom nie można pozwolić na tak radykalne wyrzeczenie. Dopóki sami nie spróbowaliśmy, można pytać: jaki to ma sens? Ale ci, którzy przeszli przez rekolekcje, mówią, że to jest potrzebne, jakby odradza człowieka. Sądzę, że takie rekolekcje można przyrównać do kąpieli. Potrzebujemy od czasu do czasu duchowo się odświeżyć. I w Tyńcu stosujemy różne „szampony” do takiej kąpieli: dla jednych czytanie

Pisma, dla innych post, dla jeszcze innych śpiew gregoriański, bo i takie warsztaty tu prowadzimy.

Spróbowałbym głębiej to zinterpretować. Czy post paradoksalnie nie wskazuje na to, że jesteśmy nierozdzielnie duchowo-cieleśni? Że nie da się ducha oddzielić od ciała. Działając na ciało, działam na ducha i poprzez ciało docieram do ducha. Sam nie próbowałem pościć przez tydzień, spodziewam się, że Ojciec wie lepiej, jak to jest.

Ja też nie próbowałem. Merton pisał: „Kiedy nastaje dzień postny, już po południu burczy w brzuchu”. Biskup Swirski, ordynariusz, który wyświęcił mnie na księdza, zanim jeszcze wstąpiłem do benedyktynów, przed każdą diecezjalną wizytacją kilka dni pościł. Próbował w ten sposób oczyścić organizm, by mógł znieść te rozmaite frykasy, które biskupowi stawiają na stół podczas wizytowania parafii. Mówił, że podczas dłuższego postu z początku chce się jeść, ale potem aż szkoda wracać do jedzenia. Bardzo wiele ruchów religijnych i duchowych, nie tylko chrześcijańskich, poleca post różnego rodzaju, choćby weganie, wegetarianie... Post i zarazem milczenie. Przy czym chodzi o całkowite milczenie, np. przez sześć dni z rządu.

Czy to nie skupia człowieka na rzeczach, które zwyczajnie nas nie zajmują i nie powinny zajmować - jak zaspokajanie głodu, proste porozumiewanie się czy inne konieczności życia? W jaki sposób docieram do ducha, jeżeli bez przerwy myślę o jedzeniu? Czy to ostatecznie nie przeszkadza w skupieniu?

Jak powiedziałem, post i milczenie to rodzaj oczyszczenia. W jakim sensie? Zauważmy, jaki zwykle mamy myślowy mętlik w głowie, jak porusza nas każda przypadkowa myśl! To od czasu do czasu wymaga uporządkowania. Gdy się nad tym zastanawiam, wydaje mi się, że moja głowa przypomina stronę internetową Onetu czy Interii. Jest w niej wszystko - setki linków do innych stron i tysiące informacji. I łapię się na tym, że, może poza momentami modlitwy chórowej, jestem wciąż czymś rozpraszany. A co dopiero mają powiedzieć ludzie, którzy żyjąc w świecie, nieustannie doświadczają rozmaitych bodźców! Jeżeli człowiek ma zaspokojony głód, wówczas problem jedzenia nie istnieje, a ważne stają się te wszystkie inne sprawy i opadają na nas jak stado ptactwa. Kiedy z kolei jesteśmy bardzo głodni, zaczynamy rozmyślać tylko o jedzeniu. Żadne grzeszne myśli nie przychodzą do głowy, tylko ta jedna: naprawdę bym coś przegryzł! Nie obchodzi mnie zupełnie, co będzie z rządem, co się dzieje w Warszawie czy w Krakowie. I zaczynamy się zastanawiać: bez jedzenia nie da się żyć, ale czy żyje się dla jedzenia? Co jest najważniejsze? Co z głodem duchowym? Czy kiedykolwiek poczułem, że jestem głodny duchowo? Ludzie nie przyjeżdżają tu dla żartu. Przyjeżdżają, żeby coś osiągnąć, czegoś się o sobie dowiedzieć.

Ile osób zwykle bierze udział w takich rekolekcjach?

Do dwudziestu pięciu - tyle ostatnio przystosowano gościnnych pomieszczeń w klasztorze.

I zawsze jest komplet?

Raz tylko musieliśmy odwołać spotkanie... polityków, z braku zgłoszeń. Może brakowało skutecznej promocji. Zawsze w rekolekcjach uczestniczy przynajmniej kilkanaście osób. To sympatyczni, skupieni, poważni ludzie. Nie biorą oni bezpośrednio udziału w życiu klasztoru, choć są na wszystkich nabożeństwach. Klasztor przydziela im opiekuna duchowego, z którym w każdej chwili mogą porozmawiać. Te rozmowy ujawniają właśnie problemy duchowe, o których wspominałem. Zwykle w życiu codziennym ich nie zauważamy, bo nie ma na to czasu. Uczestnicy takich rekolekcji są zadowoleni. Niektórzy przyjeżdżają wielokrotnie. Czasem rezerwacji trzeba dokonywać na pół roku wcześniej.

Kolejna propozycja - „Medytacyjne tydzieńskie spotkania”: „Medytować to otwierać się wewnątrz na tajemnice własnego istnienia, otaczających nas ludzi i świata. Medytacja pozwala uchwycić głębszy i pełniejszy sens nadany wszystkiemu przez Boga, ona porządkuje myślenie, wprowadza pokój serca i wskazuje zadania codzienności. W miejscu, gdzie wiele

pokoleń mnichów mozolnie i wiernie próbowało, i wciąż próbuje, odnaleźć pełnię sensu życia”. Medytacja nie dotyczy zatem tylko spraw duchowych, ale dotyka całości życia. Nie otwiera mnie egocentrycznie na tajemnicę mojego istnienia, ale także na tajemnicę otaczających mnie ludzi i całego świata. To brzmi bardzo ciekawie i jakby na przekór potocznym mniemaniom, czym jest medytacja...

Wydaje mi się, że właśnie na tym polega tajemnica życia zakonnego: oto mnisi zwróceni są ku Bogu

- bez tego wszystko, co robią, nie miałyby sensu

- i dzięki temu otwarci są na świat. W Bogu odnajdują siebie i świat. W jednym promieniu światła ujrzał całą rzeczywistość - tak święty Grzegorz opisał mistyczne doświadczenie św. Benedykta. W medytacji i modlitwie dążymy do tego, by swoje życie uprościć, nadać mu kierunek, nawet jeśli składa się ono z wielości problemów, przeżyć, zmagania, zadań, nawet jeśli wciąż przytrafia się nam coś nowego. Tę całą różnorodność widzimy w Bogu. I to jest jeden z elementów równowagi. Chwiejność rzeczywistości, różnorodność, zmienność, pluralizm sensów i postaw nie zagraża mi, nie wyprowadza mnie z równowagi, gdyż to wszystko widzę w Panu Bogu. Do tego dochodzi także Krzyż. Według nauki chrześcijańskiej w Krzyżu są cierpienia każdego człowieka i całego świata. Można powiedzieć, że Krzyż jest takim promieniem, w którym się widzi też grzech: mój i twój, i każdego człowieka na świecie. A jednocześnie poprzez wiarę to wszystko podporządkowane jest Bogu. To daje pax benedictina - pokój benedyktyński. Nie masz być bierny, masz działać, ale pamiętaj - to wszystko jest w Jego ręku. Bóg wszystko widzi i wszystko może. Nie jest „podglądaczem”, jak sądził Sartre, Bóg patrzy na człowieka z miłością. Pozwala mu na bardzo wiele, niejako prosząc: - Zrób tak, jak sugeruję. Do świętej Faustyny Jezus powiedział: „Proszę, proszę, proszę, a gdy nie mogę człowieka przekonać, wtedy spełniam jego pragnienia”. Możemy zatem osiąść pokój i zrozumienie, które uchronią nas od irytacji, beznadziei czy nawet rozpacz. Często rozmawiam z ludźmi. Irytuje ich zło dziejące się w polityce, gospodarce, w Kościele - to rodzi złość. Jednak nigdy nie można zrywać kotwicy, którą jest nadzieja, że to wszystko ma

sens.

Zatem medytacja to próba osiągnięcia perspektywy, która daje wewnętrzny pokój?

Tak, ale w oparciu o Chrystusa. Medytacji chrześcijańskiej towarzyszy zawsze wyraźne odniesienie do osobowego Absolutu. To ją odróżnia od technik medytacyjnych religii azjatyckich. Choć sama forma medytacji wydaje się bardzo podobna, np. skupienie się na oddechu i medytacyjne powtarzanie pewnych formuł - mantr, jak modlitwy benedyktyńskie: „Panie wejrzyj ku wspomnieniu, Boże wejrzyj ku wspomnieniu memu, Panie...”. U nas jednak zawsze chodzi o osobową więź z Jezusem Chrystusem, Bogiem, który stał się człowiekiem i podniósł wszystko, co ludzkie i co ziemskie, do poziomu boskiego. To jest właśnie owa droga - a zarazem prawda i życie - której zawierzyliśmy i którą staramy się iść. Pozwoliliśmy się wezwać przez Chrystusa i w tym wezwaniu trwamy - niektórzy nasi najstarsi zakonnicy już ponad pół wieku. Tym przede wszystkim chcemy dzielić się z innymi, choć w historii Kościoła posyłał benedyktynów do najprzeróżniejszych zadań. Na przykład Grzegorz Wielki posłał benedyktynów, aby ewangelizowali Anglię. Musieli więc zrezygnować na jakiś czas z zacisza życia kontemplacyjnego. Po wykonaniu takich „zadań zleconych” zawsze jednak powracali do klasztoru i zajmowali się normalnym swoim powołaniem: modlitwą i pracą. To oni, razem z późniejszymi cystersami, odrodzili, a nawet ukształtowali europejską kulturę.

Kiedy odprawiając Mszę świętą twarzą do ludzi, mówię: „Chwała na wysokości Bogu” - to mam przed sobą i ludzi, i Boga; kiedy mówię: „Pan z Wami” - też mam przez sobą ludzi i Boga. Bóg jest pomiędzy nami. „Słowo stało się ciałem i mieszkało między nami” - to jest ta głębia, której poszukujemy. Na tym też polega tajemnica życia monastycznego.

W ulotce reklamującej rekolekcje przytoczony jest cytat z Izajasza: „W nawróceniu i spokoju jest wasze ocalenie, w ciszy i ufności leży wasza siła”.

Nadzieja i pokój. W zgiełku i chaosie świata - jednak pokój. Człowiek nie powinien dać się „zbełtać” temu, co się dzieje, a o to jest bardzo trudno.

Ale czy cisza nie usypia?

Zależy jaka cisza. Cisza buduje więzy między ludźmi, tak jak milczenie. Jeżeli ludzie milczą na ten sam temat, bo się kochają, to milczenie bardziej łączy niż słowa. Natomiast jeśli milczą przeciwko sobie, to taka cisza rujnuje. Jest też cisza współbrzmienia, uszanowania...

Intrygujące są tematy cyklu o medytacji. Pierwszy: „Bliskość muzyki Mozarta”. Co ma wspólnego muzyka Mozarta z medytacją?

O to należałoby zapytać ojca Opata, który jest muzykiem i muzykologiem i prowadzi te rekolekcje.

Następne tematy: „Zwyczajność, przejrzystość i owocność”. Znowu podkreślone jest odniesienie do normalności...

Kiedy św. Benedykt proponuje „narzędzia dobrych uczynków”, to mówi po prostu o znanych wszystkim przykazaniach: nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij. Bądź zwyczajnym człowiekiem. Z kolei ósmy z dwunastu wyliczonych przez niego stopni pokory zaleca jedynie nie czynić nic innego, jak to, do czego nakłaniają obyczaje i wzory starszych. To nie znaczy, że mamy biernie trzymać się tradycji, ale w duchowości wcale nie chodzi o jakieś specjalne wydziwianie czy ekstrawagancję. Przecież my, mnisi, także troszczymy się o swoje utrzymanie, staramy się o pieniądze, by klasztor mógł funkcjonować. Ważne, żeby była równowaga: odpowiednia ilość czasu na życie wewnętrzne, liturgię, na pracę. Chodzi o to, żeby z jednej strony nie nadwierać życia duchowego, a z drugiej, nie być przytłoczonym światem. Od Boga może człowieka odciągnąć zarówno skrajne bogactwo, jak i skrajna bieda. W przypowieści o siewcy mowa jest o ziarnie zagłuszonym przez ciernie - chodzi zarówno o zbytne troski świata, jak i o uzależnienie od przyjemności.

Ludzie, którzy nas odwiedzają, przyglądają się naszemu życiu i naszej pracy. Pytają, czy jesteśmy uczciwi? Czy tak, jak nakazuje Reguła św. Benedykta, sprzedajemy trochę taniej niż świeccy ludzie? Sądzę, że ofiara za dobę z wyżywieniem w wysokości 60 złotych jak na Kraków nie jest wygórowana. Natomiast wyższe ceny „produktów benedyktyńskich” sprzedawanych w klasztorze i poza nim ukierunkowane są na ludzi bogatszych, którzy w taki właśnie sposób mogą wspomóc odbudowę klasztoru.

I rzeczywiście klasztor utrzymuje się dzięki datkom?

Otrzymujemy oczywiście także różne dotacje, zwłaszcza na odrestaurowanie zniszczonej części budynku, która ma służyć ludziom. Gdybyśmy chcieli utrzymać się tylko z ofiar i naszego małego gospodarstwa, a jest nas około czterdziestu zakonników, to nie mielibyśmy możliwości odbudowy zniszczonej przez zaborców części klasztoru. Tymczasem chcemy, żeby tutaj działa się coś więcej. W Tyńcu organizowane są koncerty, spotkania, sesje naukowe, od kilku miesięcy działa restauracja i jednostka gospodarcza BENEDICITE, która promuje produkty benedyktyńskie - od książek i pamiątek po wyroby garmazeryjne. Każde szanujące się biuro turystyczne, które promuje Kraków, utrzymuje z nami kontakt.

Czy do Tyńca zagląдают turyści z Zachodu?

Zwykle są zachwyceni tym miejscem. Pojawiają się Francuzi, Japończycy, Amerykanie, Niemcy. W okresie letnim codziennie przyjeżdża parę (raz było trzydzieści) autokarów. Mówią, że tutaj odnajdują coś szczególnego. Często sami nie wiedzą co.

Smakują im benedyktyńskie dżemy?

Sporządzane według starych zakonnych receptur dżemy, konfitury i soki sprzedajemy od niedawna. Ale cieszą się coraz większym zainteresowaniem, otrzymujemy coraz więcej zamówień. Chcemy rozszerzyć naszą ofertę o kosmetyki produkowane z naturalnych składników. Mnisi nie angażują się w to przedsięwzięcie bezpośrednio, poza ojcem Opatem i

wyznaczonym zakonnikiem dyrektorem, który nad wszystkim czuwa. Dział handlowy prowadzą osoby świeckie. Dzięki tej działalności klasztor nie tylko zarabia, ale także daje pracę wielu ludziom. Cieszy nas, że uczciwa praca uczciwych i kompetentnych ludzi przynosi zyski.

Kolejny temat rekolekcji: „Duchowość benedyktyńska w życiu świeckim”. I cytat z Reguły św. Benedykta: „Gdy będziesz postępował naprzód w życiu wspólnym i w wierze, serce ci się rozszerzy i pobiegiesz drogą przykazań Bożych z niewysłowioną słodyczą miłości”. O tym właśnie, czy współcześni świeccy mogą skorzystać z doświadczenia benedyktynów, mamy rozmawiać w tej książce. Na razie zapytam, czy rzeczywiście czeka nas „niewysłowiona słodycz”?

Powtórzę: spróbuj! Ciekawi cię, ale się boisz, masz uprzedzenia. Mimo to spróbuj! Często okazuje się, że dopiero po spróbowaniu zaczynamy się do czegoś przekonywać i czerpać z tego dużo radości i zadowolenia. Zakosztuj Boga, a stanie się w twoim życiu oczywisty! Chodzi o to, by wartości stały się dla mnie zwyczajnością. Tak jak oddech. Wdycham Słowo Boże, czytam dobre książki. Żyję rytmem modlitwy. Pan Bóg staje się codziennością. Co nie znaczy, że wszystkie osobiste problemy znikają. Już wspominaliśmy o zmaganiu się mroków wiary z światłem wiary. Pan Bóg nie oszczędza człowieka, żeby nie myślał, iż jest „posiadaczem pewności”. Przeciwnie, uczę się pokornie służyć. Mam radość posiadania, a nie pewność posiadania.

Charakterystycznym rysem duchowości benedyktyńskiej jest całościowe podejście do życia. Nie koncentruje się ona jedynie na wartościach duchowych, takich jak modlitwa, ale obejmuje także zwykłe codzienne obowiązki, czynności oraz - co jest dla niej bardzo istotne - relacje z bliźnimi. Kiedy myślimy o duchowości, to często zapominamy, że istnieje drugi człowiek i że relacje z innymi są nie tylko bardzo ważne, ale wręcz kształtują nasze człowieczeństwo.

Można odwrócić się w stronę ołtarza, plecami do ludzi, i uznać, że to, co za mną, mnie nie obchodzi, bo ja chwale Pana Boga. Ale to nie jest autentyczna duchowość. Autentyczna duchowość oparta jest na Piśmie Świętym (Reguła św. Benedykta jest bardzo biblijna!). Święty Jan Ewangelista mówi, że kto miłuje Boga, a bliźniego ma w nienawiści, jest kłamcą.

Wiele mówiące są także poszczególne tematy rekolekcji o duchowości benedyktyńskiej w życiu świeckim: „Sztuka słuchania”, „Pokora, czyli otwarcie na -prawdę” i „Módl się, jak potrafisz”. Znów realizm...

Reguła zaczyna się wezwaniem: „Słuchaj, synu...”, a kończy słowem: „...osiągniesz!”. Słuchaj, a osiągniesz.

Czy trzeba być pokornym, żeby zdobywać prawdę? Czy może raczej bezczelnym ?

I takim, i takim. W Piśmie Świętym jest powiedziane: „gwałtownicy zdobywają Królestwo Niebieskie”. Trzeba odnaleźć się w tej tęczy, którą jest Chrystus, gdyż Chrystus jest jak promień światła, rozszczepiony na miliardy kolorów. Każdy człowiek powinien odnaleźć swoją własną barwę. Życie zakonne ma naśladować Chrystusa ubogiego, posłusznego, pokornego, poddanego Ojcu. W początkach chrześcijaństwa nie było podziału na życie kontemplacyjne i czynne. Funkcjonował jeden model - życie apostoelskie. Apostołowie zostawiali wszystko i szli za Chrystusem. Robili, co było trzeba. Modlili się, byli razem ze sobą, głosili Dobrą Nowinę. Potem, ponieważ postać Jezusa jest tak bogata, zaczęły się, jak w medycynie, specjalizacje. Powstawały wspólnoty „wyspecjalizowane” w kontemplacji (karmelici), w głoszeniu Słowa Bożego (dominikanie), w opiece nad chorymi (bonifratrzy) itd. Benedyktyni nie mają własnej specjalności - to jest jakby nasza specyfika. Niemieccy bracia żartują, że łaciński skrót naszej oficjalnej nazwy: OSB (Zakon Świętego Benedykta), tak naprawdę oznacza: ohne sonstige Beschäftigung - czyli „bez jakiegoś innego zajęcia”. Służymy Bogu pod regułą i opatem - to nasz cel. Za czasów św. Benedykta nie było jeszcze zakonnych specjalizacji. Potem życie pokazało, że dzięki temu benedyktyni nie



starzej się, w każdym czasie i w każdej epoce znajdują sobie wartościowe zajęcie i czują się potrzebni. Reguła jest tak pojemna, że nie boimy się, iż kiedyś nasz sposób życia straci na aktualności.

Benedyktyni proponują też rekolekcje na temat „sacrum w przestrzeni sztuki”. Podejrzewam, że trafiają na nie osoby, które z dystansem podchodzą do instytucjonalnego Kościoła.

Piękno jest światopoglądowo neutralne. Czy właśnie o to chodzi?

Ktoś może zmierzać w stronę wiary przez dobro, ktoś inny przez piękno. Chyba najtrudniej jest trafić do człowieka niewierzącego poprzez prawdę, bo niewierzący nie chce uznać takiej prawdy, której by się musiał podporządkować. Chce być samodzielny. Uważa, że dogmat go ogranicza. A przecież wolność, nie oparta na prawdzie absolutnej, narażona jest nieustannie na uzależnienie od silniejszych i bogatszych. Proszę być wolnym jako biedny i słaby! Ale - jak odkryto już w średniowieczu - dobro, piękno i prawda to aspekty tego samego bytu, którego źródłem jest Bóg. Idąc drogą piękna, podążamy w stronę Boga. I znów chodzi o zadziwienie światem i pochylenie się nad tajemnicą piękna człowieka. Powtarzam, prawdziwa duchowość nie polega na odwróceniu się od świata i od człowieka. Owszem, trzeba rozróżniać między światem złej woli ludzkiej - którym nie powinniśmy mimo to gardzić, tylko zastanawiać się, co można zrobić, żeby był lepszy - a światem stworzenia Bożego, który jest wspinały.

Jednym z tematów rekolekcji jest „Ciało jako przedmiot sztuki religijnej”. „Ciało źródło zgorznienia czy umocnienia w wierze?” - pytają prowokacyjnie organizatorzy.

Wszystko zależy od tego, jak się na ciało patrzy. A z tym mamy niemałe trudności. Czy ktoś kiedyś pomodlił się za rozbierającą się striptizerkę? Mężczyźni albo się niezdrowo podniecają, albo z odrazą mówią: „zdzira!”.

Niekoniecznie. W jednym z opowiadań Jerzego Pilcha główny bohater - sympatyczny miejscowy playboy - wybrał się na striptiz, zorganizowany w czasach PRL w domu wczasowym w Ustroniu. Kiedy sprowadzona z Czechosłowacji striptizerka była już naga, wbiegł na scenę i wręczył jej piękny bukiet róż, okrywając ją przy okazji swoją marynarką. Dziewczyna była tak zaskoczona, że na jej twarzy pojawił się autentyczny wstyd...

Kapitałna historia! To postawa podobna do modlitwy. Mimo nagości zobaczył w niej człowieka! I tak właśnie należy patrzeć na ciało. Trzeba człowieka przyjmować takim, jakim jest. Ciało jest piękne. To diabeł - mała - z wszystkiego, co piękne, próbuje zrobić nie wiadomo co.

W kolebce benedyktynów, w klasztorze w Subiaco, znajdują się niezwykle piękne anonimowe freski z XIV wieku. Na jednym z nich Jezus jako młody mężczyzna obejmuje Maryję, przedstawioną jako piękna dziewczyna. Oboje - co zaskakujące - wyglądają jak para zakochanych. Sacrum, piękno i zwyczajność ludzkich uczuć...

Ale to mamy już w „Pieśni nad Pieśniami”! Niewierzący marksista, który pod koniec życia uważał siebie za agnostyka, profesor Adam Schaff, mówił mi: „Chwała temu, kto do Pisma Świętego włączył „Pieśń nad Pieśniami”... Pieśń o ludzkiej miłości wciągnięta w orbitę najważniejszych Bożych spraw! Święty Benedykt powiedział: „czystość miłować”. Chodzi o to, żeby patrzeć na świat z miłością. Nienawidzić grzechu, a miłować braci.

A jednak w słynnym żywocie św. Benedykta, napisanym przez papieża Grzegorza Wielkiego, obrona czystości została przedstawiona w dość radykalny sposób. Pewnego razu Benedykt zaczęło prześladować wyobrażenie pięknej kobiety. W końcu zapragnął „porzucić pustkoioie”. Oprzytomniawszy jednak, „zdarł z siebie ubranie i nagi rzucił się w ogień pokrzywy i na kolce cierni”.

Czy to dobry sposób na popęd seksualny, który przecież jest darem Bożym?

Zwyciężył w ten sposób pokusę, był twardzielem. Zadał sobie cierpienie i nie miał już później kłopotu z czystością.

I właśnie ten happy end jest dla mnie najbardziej problematyczny w tej historyjce. Radykalne kroki wcale nie muszą być skuteczne.

Każdy z nas musi znaleźć dla siebie własną drogę. „Każdy ma swoje Westerplatte” - jak powiedział Jan Paweł II. Są momenty, w których trzeba coś zrobić. Można postąpić wbrew ciału albo pozwolić ciału na wszystko. Decyzja musi być szybka. Rzeczą normalną jest, że w relacjach międzyludzkich ksiądz może się do jakiejś kobiety za bardzo zbliżyć. Trzeba umieć to w porę dostrzec i zawiesić kontakt. Bo chwila może nas zaskoczyć. Owe „ciernie” dają się zinterpretować symbolicznie - jako działanie „ratunkowe” właśnie w takich chwilach.

I ostatnia atrakcja tyniecka: ojciec Leon we własnej osobie i ciekawe tematy rekolekcji: „Radość w Duchu Świętym” oraz „My, święci”. Radość chrześcijańska jednak dość trudno przebija przez te wszystkie tradycyjne umartwienia, krzyż, ascezę...

Większość chrześcijan narzeka. A ja wolę pokazywać. Mówię: „Popatrzcie, jest dużo wspaniałych rzeczy na świecie!”. W życiu chrześcijanina, wśród osób świeckich i zakonnych kładzie się często większy nacisk na tajemnice bolesne. A przecież mamy i radosne, i chwalebne, i tajemnice światła!

Czy świętość wobec tego rzeczywiście może być atrakcyjna?

Zapytajmy, jak przedstawić świętość, żeby była atrakcyjna? Trzeba zrezygnować z takiej sztucznej, naiwnej idealizacji: „Już jako niemowlę w piątce nie ssał piersi”. Najpierw powinniśmy wykonywać dobrze swoje zwyczajne ludzkie rzemiosło. Ale samo rzemiosło nie wystarcza. Trzeba tak żyć, aby być tego życia artystą. Świętość to prawdziwa sztuka życia.

## 2. Posłuszeństwo

„Opowiadano o abba Janie Karle, że kiedy został mnichem, zamieszkał na pustyni z pewnym starcem Tebańczykiem. Otóż jego abba wziął suche drewno, wetknął je w ziemię i powiedział mu: „Codziennie podlewaj je dzbankiem wody, aż póki nie wyda owoców”. A wodę mieli tak daleko, że wychodziło się po nią wieczorem, a wracało rano. I po trzech latach drewno ożyło i wydało owoce. Starzec wziął te owoce, przyniósł do kościoła i powiedział braciom: „Bierzcie, jedzcie owoc posłuszeństwa”.

Już w pierwszej rozmowie Ojciec kilkakrotnie powoływał się na Regułę św. Benedykta. Historia pokazała, że benedyktyni odegrali kapitalną rolę w tworzeniu się zrębów Europy. Reguła stała się dla nas jednym z najważniejszych kulturowych zabytków. Właśnie, czy pozostała tylko zabytkiem? Ojcowie do dzisiaj codziennie czytają ten tekst (podzielony na fragmenty przypisane konkretnym dniom miesiąca). W czym tkwi tajemnica Reguły? Dlaczego jest ona wciąż aktualna?

Każde zgromadzenie zakonne czyta swoją regułę, niekoniecznie jednak w taki sposób, jak my to czynimy, czyli codziennie (wyjąwszy nieaktualną już dzisiaj część odnoszącą się do ówczesnego sposobu odmawiania psalmów). Reguła św. Benedykta jest jedną z pierwszych reguł zakonnych. Wiele późniejszych zakonów adaptowało jej zalecenia do swoich charyzmatów. W tym sensie można mówić, że nasza Reguła stała się źródłem życia zakonnego w Kościele katolickim na Zachodzie.

Istotne jest także to, że benedyktyni nie tylko systematycznie czytają tekst Reguły, ale także słuchają komentarza opata. Przypominam, że jesteśmy „pod Regułą i opatem”. Mnich nie jest przede wszystkim kimś, kto głosi kazania, modli się, występuje w telewizji, pisze książki, tylko tym, który jest posłuszny Regule i opatowi. Rola opata - bardziej jako ojca i kierownika duchowego niż administratora - jest kluczowa.

Nie podejmuję się wyjaśnić tajemnicy Reguły - gdyby można było to zrobić do końca, przestałaby być tajemnicą. Jestem człowiekiem, który już pół wieku siedzi w klasztorze, i wydaje mi się, że jej tajemniczość i siła wciąż nie są zbadane. Ciągłe odkrywam jakieś nowe, zaskakujące jej aspekty. To, co istotne, wyszło z wnętrza człowieka Bożego, Benedykta, który tak właśnie Boga pojmował i to chciał przekazać, bo nie mógł inaczej żyć, niż nauczał. Każdy z nas wchodzi w tę rzeczywistość nie po to, żeby małpować innych, tylko by odnaleźć swój udział w tej rzeczywistości.

Reguła właściwie w całości opiera się na Piśmie Świętym, zwłaszcza na Ewangeliach. To uderzające, stąd chyba bierze się jej prostota - jakby Słowo Boże przełożone na praktykę życia...

Benedykt dużo czytał i sam wiele w życiu doświadczył. Chciał to doświadczenie przekazać innym, swoje przemyślenia zawarł więc w pewnych ramach, wskazujących kierunek i sposób życia, który wydał mu się najbardziej właściwy. Rzeczywiście, na Regułę miało wpływ nie tylko życiowe doświadczenie Benedykta, ale także jego zafascynowanie Pismem Świętym. Znał Pismo Święte i starał się według niego żyć. Ważne jednak nie tylko są konkretne cytaty z Biblii, ale także sposób myślenia Benedykta, który jest - moglibyśmy powiedzieć - typowo biblijny, przesiąknięty duchem Biblii. Cały czas chodzi o cel: osiągnięcie „ojczyzny niebieskiej”, czyli życie w jak najściślejszym zjednoczeniu z Bogiem. Dzielę się owocami mojej kontemplacji po to, abyśmy - jak powiedział św. Paweł - „przez pociechę Pism nadzieję mieli”. Żebyś miał nadzieję, iż cel jest w zasięgu ręki.

Ale żeby nasza fascynacja Regułą nie była naiwna, bądźmy także krytyczni. Propozycja Benedykta zawiera - jak mi się wydaje - także wiele z ducha tamtych czasów, z myślenia o człowieku i o Bogu, które dzisiaj stało się jakby nieaktualne. Już pierwsze słowa

Reguły mówią o konieczności całkowitego wyrzeczenia się własnej woli i „przywdziania potężnej i świętej zbroi posłuszeństwa”. To filar, na którym opiera się cała Reguła.

Tak, przede wszystkim posłuszeństwo. Życie w miłości, ale drogą do niej jest posłuszeństwo. Chrystus był posłuszny aż do śmierci, a my mamy Go naśladować. Dlaczego posłuszeństwo opatowi? Gdyż dla mnichów reprezentuje on Chrystusa - sprawiedliwego, wszechmocnego, ale także miłosiernego. Zakon jest systemem monarchicznym. Jednocześnie Reguła bardzo pilnuje, żeby opat nie podejmował ważnych decyzji bez zasięgnięcia rady braci. Ma on obowiązek wysłuchać nawet najmłodszego, gdyż przez niego także może przemówić Duch Boży. Opat ponadto ma mieć nieustanną świadomość, że ze wszystkich swoich decyzji będzie musiał zdawać rachunek przed Panem Bogiem. Tak więc ta w pewnym sensie jego absolutna władza jest jednak roztropnie ograniczona. Pamiętam, że niektórzy opaci, komentując ten rozdział (a mają obowiązek systematycznie komentować Regułę), łapali się za głowę i mówili: - Boże, jak ja sobie z taką odpowiedzialnością poradzę? Jeśli działasz w imię Chrystusa, to pomyśl, jaki tak naprawdę musisz być. Dlatego Benedykt, wymieniając narzędzia dobrych uczynków, napisał: „Nigdy nie tracić ufności w miłosierdzie Boże” (4, 74). Opat kieruje wszystkim w imię Pana Jezusa - trzeba być posłusznym natychmiast, bez zwłoki, żeby szatan nie znalazł w naszej zwłoce okazji dla siebie, i do tego jeszcze chętnie oraz z miłością. A jednocześnie niech tylko opat spróbuje pójść za daleko! Nie jest po to, żeby się pastwił nad słabymi i chorymi, tylko żeby służył. Bo Chrystus też przyszedł po to, żeby służyć. Przyszedł do chorych. Mnisi traktują opata jak pana i władcę, a opat traktuje siebie jak sługę. I na tym polega paradoks życia mniszego - gdy tak żyjemy, wtedy wszystko układa się dobrze.

Zastanawiam się jednak, czy takie totalne posłuszeństwo nie konserwuje przypadkiem naszej niedojrzałości. Jest ono przecież zepchnięciem odpowiedzialności, i to w sprawach życiowo ważnych, na drugiego człowieka. Opat właściwie o wszystkim za mnie decyduje. Ja mam absolutnie zrezygnować z własnej woli.

Czy to dzisiaj, kiedy wyraźnie dostrzegamy, że godność osoby oznacza jej wolność, rozumność i odpowiedzialność, jest jeszcze aktualne? Czy takiej postawy najbardziej potrzebuje dzisiejszy świat?

Każdy fragment Reguły powinienem odczytywać w kontekście całości i w harmonii z innymi jej częściami. Jeśli opat jest zobowiązany zasięgać rady braci, cała wspólnota bierze udział w podejmowaniu ważnych decyzji. Opat nie wzywa do rady manekinów. Głosy wszystkich mnichów się liczą i każdy powinien mieć coś do powiedzenia. Jeśli szafarzowi opat zleca zarząd klasztoru, to znaczy, że nie wchodzi już w szczegóły, tylko ufa mu całkowicie. Jeśli mnie każe uczyć dzieci, nie sprawdza każdego mojego kroku. Mam tyle samodzielności, że aż czasem to mnie boli. Jeśli jadę głosić rekolekcje, jest podobnie - mam całkowitą swobodę i tylko ode mnie zależy, co powiem i jak sobie program rekolekcji ułożę. Obowiązuje mnie zachowanie ducha całkowitej zależności, ale w ramach tej zależności poruszam się całkowicie swobodnie. Tak to rozumiem i odczuwam. Przez całe moje życie może raz albo dwa doświadczyłem posłuszeństwa zakonnego jako ciężaru. Rzeczywiście, było to dla mojego „ja” trudne.

Niech Ojciec o tym opowie.

Prowadziłem dla siostr w Częstochowie rekolekcje, które miały się skończyć w niedzielę rano. Zaplanowałem sobie, że zanim wrócę do Krakowa, pójdę jeszcze na Jasną Górę, spotkam się także z dawno nie widzianym znajomym. W piątek jednak dostałem telefon od ojca przeora - opata jeszcze wtedy w klasztorze nie było - który nakazał mi wrócić już w sobotę wieczorem, gdyż jestem potrzebny w niedzielę w klasztorze. Wiedziałem, że tak nie jest, ale przełożony okazał się stanowczy i nie było żadnej dyskusji. Czuję, że w ten sposób funduje mi jedynie próbę posłuszeństwa. Przyjechałem zatem już w sobotę i rzeczywiście w niedzielę nie miałem nic szczególnego do roboty. W takich sytuacjach człowiek kłóci się z

Panem Bogiem. Ale jest też druga strona medalu - siostry odebrały to jako świadectwo pokory i posłuszeństwa. Były bardzo zbudowane. Gdy nakazują ci coś słusznego, to posłuszeństwo nie jest żadnym trudem. Niełatwo jest być posłusznym w rzeczy, która wydaje się nam bezwartościowa.

Innym razem jako katecheta musiałem wypisać świadectwa dla kilku klas. Przełożony, w trosce o moje zdrowie, kazał mi się jednak o dziesiątej wieczorem położyć spać. Wyraźnie powiedział: „Żadnego siedzenia w nocy!”. I nie zdążyłem wypisać świadectw dla dwóch klas. Następnego dnia okazało się, że jedna z tych klas nie przyszła wcale, a druga przyszła z dwugodzinnym opóźnieniem i zdążyłem wypisać wszystkie świadectwa - tak jakby Pan Bóg odpowiedział na mój problem.

Jeśli przełożony nakaze coś niemożliwego - a trzeba się także z tym liczyć, że pewne rzeczy mogą być dla mnie psychicznie trudne do zrobienia albo wręcz niemożliwe - to powinienem wtedy spokojnie, w odpowiednim czasie, wyjaśnić przyczyny swojej bezradności. Mam prawo się wytłumaczyć. W praktyce posłuszeństwo nie jest takie straszne dla człowieka, który się decyduje na życie pod Regułą i opatem. Przez rok nowicjatu tłumaczono mi to i wyjaśniano, pytano, czy się na to decyduję. W swojej działalności i w telewizji, i przy pisaniu książek nigdy do tej pory nie miałem żadnych poważniejszych krytycznych uwag ze strony przełożonych. Moje osobiste doświadczenie, a także doświadczenie wielu ludzi, którzy przyszli do zakonu i ślubowali posłuszeństwo, jest zdecydowanie pozytywne. Szczególnie jeśli trud posłuszeństwa traktuje się jako zadośćuczynienie za wszystkie warcholstwa, niesubordynacje, ponížanie i lekceważenie autorytetów.

Czy dzisiaj takie posłuszeństwo może być dla ludzi wzorcem ?

Dzisiaj nobilituje się nieposłuszeństwo. Każdy „sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem”. I co taki „sam” daje światu? Jaki jest tego owoc? Czasem i w szkole, i w firmie, i wszędzie ktoś musi powiedzieć: tak ma być i koniec! A gdy tego nie potrafi, wszystko się rozłązi.

Tam, gdzie o skuteczności decydują działania wspólne, posłuszeństwo wobec przełożonych dotyczy rzeczy praktycznych. W każdej firmie czy instytucji musi obowiązywać jakiś regulamin. Służy on ludziom - umożliwia np. funkcjonowanie szpitala, z czego przede wszystkim korzystają pacjenci. W Regule chodzi o coś znacznie więcej: o życie Ojca, o dobro duszy. Czy rozwojowi osoby służy wyzbycie się tego, co o niej stanowi?

Jeśli chodzi o moje wnętrze, to przełożony niczego nie może nakazać.

W Regule znajdujemy jednak polecenie, że jak cię najdą złe myśli, to „rozbij je o Chrystusa” (por. 4, 50), ale także idź i powiedz o tej myśli ojcu duchownemu...

Ojcowie duchowni to zwykle starsi mnisi, niekoniecznie przełożeni. Kiedy mam zaufanie, to idę do przełożonego. W praktyce funkcjonuje to tak, jak w dobrym małżeństwie. Jeśli żona widzi, że mąż ją kocha, jak Chrystus Kościół, to co za trudność słuchać takiego męża? Dla żony jest radością zrobić tak, jak on chce.

Takie podejście w małżeństwie jest już raczej przeszłością. Na szczęście!

Chodzi o wzajemne posłuszeństwo, o partnerstwo - tego samego chcieć i nie chcieć. Dobra żona i dobry mąż potrafią swoje upodobania zmienić, jeśli nie wyzbyć się ich zupełnie, dla drugiej osoby.

Jednakże partnerstwo różni się od posłuszeństwa. Partnerstwo jest rzeczywiście obopólnym posłuszeństwem, któremu zawsze powinna towarzyszyć rozmowa, uzgadnianie, wspólne podejmowanie najważniejszych decyzji...

W praktyce, poza wypadkami raz na sto lat, do opata zawsze można przyjść, porozmawiać, coś zasugerować, poradzić. Opat zobowiązany jest liczyć się z potrzebami słabszego; powinien mu pomagać. Może złagodzić swoje wymagania.

Być może ten monarchiczny model, którego w życiu świeckim już raczej się nie spotyka, właśnie odróżnia benedyktynów od świata?

A w wojsku? Zwykle narzeka się na te instytucje, gdzie nie ma jednego odpowiedzialnego za podejmowanie decyzji. Dzisiaj często można spotkać lęk przed odpowiedzialnością. Mamy chroniczny brak wiary w sens posłuszeństwa. Lepiej się wycofać, za nic nie odpowiadać. Ale społeczeństwo, w którym nikt nie chce słuchać ani rozkazywać z pełnym poczuciem odpowiedzialności, jest chore. W historii życia zakonnego oczywiście zdarzali się przełożeni stawiający posłuszeństwo ponad miłość. W sprawach, w których nie mieli racji, nie działali na użytek danej wspólnoty i poszczególnych ludzi. Ale to były wyjątki. Gdy wmyślimy się w Regułę, przekonamy się, że nie ma ona nic wspólnego z despotyzmem.

W wielu miejscach Benedykt powołuje się na lęk przed karą Bożą. W kilku miejscach wspomina też piekło. Można by powiedzieć, że pedagogia Benedykta w dużej mierze oparta jest na lęku przed karą. Dzisiaj postrzegamy to jako ułomność.

Nie byłbym tego taki pewny. Dzieci z Fatimy, zobaczywszy piekło, stały się zupełnie innymi dziećmi, bardziej dojrzałymi. Do klasztoru wstępuje się dziś zasadniczo po to, by znaleźć Pana Boga. Każdy grzech jest ostatecznie grzechem nieposłuszeństwa. Zauważmy, że to ja sam obijam się i kaleczę o to, co mnie od Boga oddaliło.

Także obraz Boga może nas razić. Benedykt pisze: „Powinniśmy zatem zawsze być Mu posłuszni, bo w przeciwnym razie mógłby nas nie tylko wydziedziczyć, jak rozgniewany Ojciec swoich synów, lecz także jak groźny Pan, obrażony naszą nikczemnością, wydać na wieczną karę sługi niegodne” (Prolog, 5-7).

To język biblijny.

Ojciec, który wydziedzicza swoich synów, nie jest dla mnie wzorcem.

Możemy to zobaczyć w innym kontekście. Jeżeli się wstępuje do klasztoru, to nie po to, żeby trafić do piekła. Początkiem miłości jest bojaźń Boża - przynajmniej się lękać. Ta przestroga jest dla tych, których jeszcze nie stać na miłość. Nie należy tracić wiary w miłosierdzie Boże, ale też jest powiedziane: uważaj, bo twoje postępowanie może doprowadzić cię tam, gdzie na pewno nie chciałbyś trafić.

W wychowaniu dzieci straszenie karą przynosi zwykle fatalne owoce. Z własnego doświadczenia ojcowskiego wiem, że dziecku wystarczy pokazać, iż zasmuca nas swoim złym postępowaniem i samo sobie szkodzi (np. bijąc brata albo dotykając gorącego piekarnika). W ten sposób odwołujemy się do naszej więzi z dzieckiem i do jego dobra. Natomiast strasząc, czynimy je bezradnym wobec wyzwania świata.

Język Reguły jest językiem tamtego wieku, nic na to nie poradzimy. Jednocześnie św. Benedykt nie może milczeć na temat grzechu, który niszczy człowieka. Stawia wymagania tym, którzy chcą szukać Boga. Trzeba prosić, napominać, ale też odciąć się od kogoś, jeśli nie można inaczej. Takie podejście: hulaj dusza, piekła nie ma, dobry Bozia, który i tak zawsze przebaczy, też nie prowadzi do celu. Trzeba człowieka wychować. Dlatego najważniejsze są wskazówki: wczytuj się w Pismo Święte, rozmawiaj z Bogiem, wpatruj się w miłującego Ojca. I dopiero na końcu: nie zmuszaj Boga do tego, żeby cię musiał karać.

Wspominaliśmy o realizmie Reguły. Przykładem zalecenie: „Powinniśmy przygotować nasze serca i ciała do walki pod świętym posłuszeństwem przykazaniom Bożym, a gdy coś zbyt trudne będzie dla naszej natury, prośmy wówczas Pana, by kazał łasce swojej przyjść nam z pomocą” (Prolog, 40-41). Benedykt bierze pod uwagę, że coś może być zbyt trudne. W wielu miejscach mówi, iż trzeba dawać każdemu to, co mu się należy, i według tego, na ile potrzebuje i na ile jest w stanie przyjąć. Jedni potrzebują mniej, drudzy więcej. Sytuacja każdego jest inna.

Oczywiście, ale jednocześnie każdy z wstępujących do klasztoru ma na sumieniu jakieś wykroczenia, w języku teologicznym - grzechy. Jeśli chcemy poświęcić się Panu Bogu,

rzeczą konieczną jest nasze nawrócenie, czyli odcięcie się od naszych grzechów. Tylko w ten sposób możemy uniknąć pułapki piekła. Póki czas, spieszymy się więc, nawracajmy się wciąż! Jeśli znów opadamy z sił, wracajmy mimo wszystko do Boga. Nie ma innej drogi. Mamy jednocześnie świadomość, że łaska Boża zawsze nam towarzyszy.

Niepokoi mnie jednak zalecenie, by „nienawidzić własnej woli”. Czy wolna wola nie jest niezbędna, bym był sobą, czyli osobą - rozumną wolną istotą, stworzoną „na Boże podobieństwo”?

Chodzi o wolę, która wybiera zło. Kiedy się pogniewam i świadomie trwam w gniewie, moja wola jest zła. Od takiej „woli” trzeba się odciąć. Wydaje się, że w Biblii jest pewna „dwuznaczność”: z jednej strony znajdujemy zalecenie, by odwrócić się od „świata”, z drugiej - wyraźnie jest powiedziane, że właśnie ten świat, z całą jego biedą, Bóg umiłował. No to jak to jest: porzucić czy miłować? Z jednej strony dzięki wolnej woli jesteśmy sobą, z drugiej - nasza wola to „pożądliwość ciała, oczu i pycha żywota”, na co wskazuje św. Jan Apostoł. Na początku człowiek powiedział Bogu - nie. A jednak Bóg tak nas w tym świecie umiłował, że posłał swego Syna, abyśmy mieli życie. Jeżeli będziemy starali się być blisko Chrystusa, wszystko samo się ułoży i odzyska harmonię.

Może dlatego Jezus nie napisał katechizmu, gdyż bardzo ceni i szanuje naszą wolę?

Co innego wybiórcze traktowanie Pisma Świętego i prawd wiary wedle naszej wygody po to, by unikać wysiłku, a co innego dostrzeganie tego wielkiego bogactwa, pluralizmu myśli i przede wszystkim głębi Biblii. Z tego bogactwa, którego przecież w całości nie ogarniam, czerpię mądrze, z miłością, świadomy swoich słabości i grzechów - biorę to, co dla mojego rozwoju jest w danej chwili najpotrzebniejsze. Do Pisma Świętego każdy ma dostęp. Słońce świeci, ale na każdego pada pod odrobiną innym kątem. Dlatego posłuszeństwo ma różne odcienie - nie chodzi o sztampę. Nie jesteśmy ideałami - wiemy, jakimi zygzakami idziemy, z iloma trudnościami musimy się zmagać poza wolną wolą są jeszcze nasze kaprysy, emocje, trudności rozumowe, czasem bardzo wielka wiedza, czasem bardzo mała. Poza tym działanie szatana, który za wszelką cenę chce pokrzyżować nam szyki. Szatan nienawidzi posłuszeństwa, słowo o posłuszeństwie wywołuje jego wściekłość.

„Nie lubić kłótni” - to ciekawe zalecenie. Nie jest powiedziane: nie kłócić się, tylko: nie lubić kłótni. I dalej za św. Pawłem: „jeśli zdarzy się jakaś kłótnia, pojednać się przed zachodem słońca” (4, 73).

Gniew jako emocja nie jest zły sam w sobie. Jezus też się gniewał na ludzi, których zbawił. Trująca jest dopiero zaciekłość - taka zatwardziałość w gniewie: poczekaj, ja ci jutro pokażę! Dlatego my w klasztorze zawsze wieczorem, po Komplecie, czyli modlitwie na zakończenie dnia, jeszcze raz przekazujemy sobie znak pokoju.

I kolejna intrygująca uwaga: „widząc w sobie jakieś dobro, przypisywać je Bogu, nie sobie, zło zaś uznawać zawsze za własne dzieło i sobie je przypisywać” (4, 42-43).

Bo to jest prawda. Ja odpowiadam za zło, które świadomie i dobrowolnie uczyniłem, nikt inny. Żeby móc mówić o winie moralnej, muszę wiedzieć, że to jest zło i muszę chcieć to uczynić. Taka świadomość własnej winy moralnej umożliwia uwolnienie się od niej przez nawrócenie - wyznanie grzechu, żal i postanowienie poprawy. Z dobrem jest, jak się wydaje, nieco inaczej. Oczywiście mogę, a nawet powinienem się cieszyć, że udało mi się uczynić coś dobrego. Ale przypisywanie sobie wyłącznej zasługi może prowadzić do faryzeizmu. Paradoksalnie, skupianie się na swojej dobroci może czynić nas gorszymi.

Ojciec broni Regułę przed zarzutem manicheizmu, ale trudno nie odnieść wrażenia, że pewne ślady negatywnego myślenia o stworzonej naturze są w niej obecne. Choćby zalecenie: „Nie szukać przyjemności, kochać post” (4, 12-13). A przecież teraz pijemy dobrą kawę, przegryzamy smaczną czekoladą...

Goście w klasztorach benedyktyńskich zawsze byli inaczej traktowani, nie poddawano ich z zasady rygorom życia klasztornego. Stąd przygotowywano dla nich inne jedzenie.

Miłość bliźniego jest najważniejsza. Ale mówiliśmy już, że trafiają do nas też ludzie świeccy, którzy chcą pościć i ich kilkudniowy post jest nawet bardziej radykalny niż zakonny. Sami popróbujmy!

Zofia Kossak-Szczucka pisała kiedyś o postawie św. Franciszka z Asyżu. Poczestowany wspaniałym deserem, łapczywie i z dużym apetytem go zjadł, budząc zgorszenie. Okazało się, że gdy nikt nie widział, z paleniska wziął garść popiołu i wsypał do deseru. W tej chwili rozmawiamy o poście, pijąc dobrą kawę, ale ja potem idę do refektarza i nie biorę sobie najlepszego kaska. Chodzi o przypominanie, że sam post bez miłości jest Bogu niemiły. Chodzi o rezygnację z siebie, żeby iść za Chrystusem, dzięki któremu będę sobą. Tylko w Chrystusie jest moja pełnia. I do takiej pełni jestem wezwany, do niej mam dorastać.

Jest jeszcze jedno dziwne zalecenie: „nie lubować się w nadmiernym lub głośnym śmiechu” (4, 54). Jak to jest - Ojciec jest przecież znany z poczucia humoru ?

Tu jest wyraźnie napisane: „w nadmiernym lub głośnym śmiechu”. Sw. Benedykt nie potępia śmiechu w ogóle. Widać to dokładnie, gdy poleca ograniczenie rozmów i żartów w czasie Wielkiego Postu. Chodzi tu zapewne o śmiech nieopanowany i z nieodpowiednich powodów - o taką głupawą wesołkowatość. Nie wszyscy wstępujący do klasztoru od razu charakteryzowali się delikatnością i wysoką kulturą.

Ewangelia jest Dobrą Nowiną. Czyż sprawdzianem jej działania w naszym życiu nie jest radość?

Reguła nie zabrania radości, tylko takiego śmiechu, który rozprasza. Jest śmiech, który buduje, i taki, który człowieka zubaża. Bywały w historii benedyktynów postacie wyjątkowo dowcipne - np. błogosławiony o. Kolumba Marmion. Był człowiekiem pełnym humoru - złośliwego humoru - czasem aż rubasznego, a został wyniesiony na ołtarze.

Benedykt zakazuje pragnąć, aby nazywano nas świętymi, zanim nimi zostaniemy, zaleca natomiast starania o własną świętość. Czy takie mocne postanowienie: „będę świętym”, nie prowadzi raczej do kręcenia się wokół siebie, czyli ostatecznie do pychy?

Celem bycia w zakonie zasadniczo jest dążenie do świętości. Czasem czyjeś pragnienie świętości i świadome dążenie do niej może być dla innych wręcz nieznośne. Na przykład św. Stanisław Kostka mówił: „Do wyższych rzeczy jestem stworzony”. A zarazem miłował drugiego człowieka, i to w stopniu heroicznym. No i został świętym. Gdy natomiast św. Alojzy Gonzaga był jeszcze jezuickim klerykiem, w kronice napisano: „Alojzy nie był dziś z nami na rekreacji. Deo gratias”. Rekreacja z kimś, kto chciał być świętym i wiedział o tym, i innym to uprzytamniał, mogła być czasem uciążliwa. A w efekcie to, co robił, było na tyle Boże, że saldo wyszło dodatnie.

Z jednej strony chodzi o to, żeby ustrzec się subiektywizmu i wybiórczości, a z drugiej - powinniśmy liczyć się z różnorodnością sposobów realizowania świętości, z różnorodnym interpretowaniem Pisma Świętego, katechizmu czy Reguły.

Podobnie każdy klasztor benedyktyński jest inny, chociaż w zasadzie, jak się go odwiedza, wiadomo, że to są benedyktyni. W każdym jednak jest coś własnego, niepowtarzalnego... Papież Grzegorz Wielki zlecił benedyktynom ewangelizację Anglii, choć wydawało się, że taka praca misyjna jest sprzeczna ze stylem ich życia. Benedyktyni zwinęli wszystko, wzięli ze sobą także ulubionego kota i powędrowali przez pół „buta włoskiego”, Galię i kanał La Manche, by głosić Dobrą Nowinę na Wyspie. Zrobiwszy swoje, powrócili do życia bardziej zamkniętego w klasztorze. Z kolei w jednym z benedyktyńskich klasztorów w Belgii przebywał mnich, który przez całe swoje życie ani razu nie był w mieście, odległym chyba zaledwie o siedem kilometrów. Nie miał żadnych powodów. Nie chorował, niczego nie musiał załatwiać, niczego nie było mu trzeba. Są też mnisi, którzy prowadzą w Ameryce szkoły albo parafie. Klasztor jest dla nich jedynie „punktem zbornym”. Rozjeżdżają się samochodami po całej okolicy i wracają dopiero wieczorem. I u nas w Tyńcu ja idę na furkę,



ktos do Domu Gości, ktos do ogrodu, inny do kancelarii parafialnej. Takie bogactwo różnorodnych działań realizowane jest przez wieki do dziś, a wszystko pod jedną Regułą św. Benedykta.

### 3. Opat

„Abba Lot przyszedł do abba Józefa i powiedział: „Abba, jak umiem, tak wypełniam moją małą regułę co do oficjum, postu, modlitwy, rozmyślenia, milczenia... Jak umiem, tak się staram o czystość myśli... Co mam jeszcze robić ponadto?”. A starzec powstał i wyciągnął ręce do nieba, i jego palce stały się jakby dziesięć pochodni. I rzekł: „Jeśli chcesz, stań się cały jak płomień”..

Benedyktyni, zgodnie z duchem Reguły, są „szkołą służby Pańskiej” (Prolog, 45). „Ufamy przy tym, że zakładając ją - pisze św. Benedykt - nie ustanowimy nic surowego ani nazbyt trudnego. Jeśli jednak niekiedy dla naprawienia błędów i zachowania miłości, tam gdzie sprawiedliwość i rozsądek tego wymagają, okazemy się nieco bardziej surowi, nie uciekaj od razu zdjęty strachem z drogi Zbawienia, bo wejść na nią można tylko ciasną bramą”. Czy zatem benedyktynów nie należy się bać, bo surowość nie jest głównym narzędziem dorastania do świętości?

Święty Benedykt chce, żeby droga dorastania przebiegała sprawnie. Dla niego trud nie ma wartości sam w sobie. Owszem, niektórym ludziom ze względu na ich usposobienie życie wspólne czy zdecydowane odwrócenie się od grzechu może sprawiać duże trudności. Ale taka postawa nie jest powszechna. Porównując życie do jazdy samochodem, możemy powiedzieć, że ciągle musimy trzymać kierownicę w dłoniach. Czasem trzeba zahamować, innym razem dodać gazu, żeby wyminąć niebezpieczeństwo. Normalnie i zwyczajnie: nic surowego ani nazbyt trudnego.

Jeśli opat działał zbyt surowo, i to nie dla naprawiania błędów, nie dla zachowania miłości, ale po prostu tak sobie niesprawiedliwie i bez rozsądku, to nie jest w zgodzie z Regułą św. Benedykta. Taka surowość i ostrość są w gruncie rzeczy śmieszne. Kompletną pomyłką jest zatem pastwienie się nad podwładnymi, pokazywanie swojej wyższości i ważności. Dlatego do opata, który ma mocną rękę, ale brakuje mu miłości, rzeczywiście można mieć pretensję. Taki przełożony gorszy - prowokuje niebezpieczną postawę: „Nauczycielom, którzy wymagają, dziękujemy!”.

Ale czy problemy ze sprawowaniem władzy nie wynikają także z cech osobowościowych i psychologicznych kompleksów?

Z pewnością. Wszystkie zarzuty, które można postawić konkretnej realizacji sprawowania władzy, związane są z osobistymi niedoskonałościami ludzi. Jeśli ktoś rozumie posłuszeństwo tylko w ten sposób, że „ja mam rację, a wy musicie mnie słuchać”, powinien czym prędzej się nawrócić i otworzyć na mądrość innych. Nikt przecież nie ma wszechwiedzy. Jeden z biskupów oświadczył kiedyś: „Nie muszą mnie kochać, byle mnie słuchali i się bali”. Tymczasem w Regule wyraźnie jest powiedziane: „Niech bardziej stara się opat o to, żeby go kochano, niż żeby się go bano” (por. 64, 15). Jeśli się opata kocha, to wtedy jest też możliwe prawdziwe, budujące dobro posłuszeństwo. Na pierwszy rzut oka takie podejście sprzeciwia się owej idei „monarchizmu”, ale w rzeczywistości w ten sposób docieramy do źródeł prawdziwego autorytetu.

Nie można też zapomnieć, że niekiedy wspólnota jest tak niedojrzała, iż nawet najlepszy przełożony niewiele może poradzić. Pierwsza wspólnota, której przewodził św. Benedykt, chciała go po prostu otruć, ponieważ za bardzo na serio traktował wymagania stanu mniszego.

Według Reguły, opat będzie odpowiadał przed Trybunałem Bożym za własną naukę - co wydaje się zrozumiałe oraz - tu pewne zaskoczenie - za posłuszeństwo swoich uczniów. Czy oczekiwanie, że będzie miał tak doskonały wpływ na innych, nie jest zbyt nierealne?

Optymalnie jest, gdy osobowość opata pomaga, a nie utrudnia posłuszeństwo wobec niego. Bądź takim przełożonym, żeby mnichom twoim łatwo było być mnichami! To jest bardzo ważne. Ale zdarzają się i tacy, których styl rządzenia, sposób odniesienia się do innych, ton, jakim przemawiają, czy postawa prowokują odruchowy sprzeciw. Od razu wszystko we mnie jest na „nie”. Mówię wtedy sobie w duchu: Panie Boże, „włożyłeś ludzi na nasze głowy” (imposuisti homines super capita nostra). Taka modlitwa daje nadzieję zobaczyć w przełożonym Pana Jezusa. To dopiero jest sztuka! Pan Jezus jakby mówi: „Przebrałem się teraz w trudnego we współzyciu przełożonego i przez te cztery lata (lub osiem) będziecie musieli mnie znosić i albo on pod moim wpływem złagodnieje, albo wy w trudnościach okrzepniecie. Pamiętajcie też, że sami go sobie wybraliście!”. Bardzo trudno jest wybrać najlepszego. Reguła benedyktyńska przewiduje nawet taką możliwość, że jeśli wspólnota wybrałaby opata, który prowadziłby wspólnotę na manowce i wiadomość o tym doszłaby do innych opatów czy biskupa, albo do zwykłych okolicznych chrześcijan, mają oni prawo i chrześcijański obowiązek takiego opata usunąć z urzędu, przywracając w ten sposób ład. Chrześcijanie okoliczni już od VI wieku mieli więc prawo wejść do klasztoru i żądać porządnego opata. Jaka odwaga i realizm! Święty Benedykt wychowany był w rzymskiej rodzinie patrycjuszy i wedle takiej tradycji rozumował: owszem, Chrystus jako władca, ale jednocześnie pater familias - rzymski, stary ojciec rodziny. Mamy więc specyficzną rodzinę, zarazem szkołę służby Pańskiej i bojowanie ze złem w sobie - takie elementy wyznaczają życie mnicha.

Opat ma być wzorem i nauczycielem. Bardziej jednak wzorem: „Uczniom bardziej pojętym musi wykładać naukę Pana także słowami. Tych zaś, którzy trudniej rozumieją i są twardego serca, niechaj własnym życiem uczy Bożych przykazań” (2, 12).

Już Paweł VI powiedział, że bardziej dzisiaj potrzeba świadków niż nauczycieli. Nauczycieli spotykamy na swojej drodze rozmaitych. Czasem myślę, że dlatego ludzie nie potrafią odnaleźć się w Kościele i pozostać w nim, bo brakuje prawdziwych świadków. Tam, gdzie są święci, tam jest żywy Kościół. Gdy ksiądz jest zaangażowany w życie parafii i z miłością realizuje swoje powołanie, ludzie potrafią to docenić i uznają taki autorytet. Tam natomiast, gdzie tylko poucza i kazania gada: bo wyście to, bo wyście tamto, a jeszcze powinniście dawać... To wtedy ludzie się odsuwają. Mówią: „Posłuchamy cię innym razem”. Święty Benedykt swoją osobowością spowodował, że po trzech latach pobytu w pustelni założył dwanaście klasztorów. Oznacza to, iż życie mnisze wybrało wówczas około stu pięćdziesięciu młodych ludzi - bez akcji powołaniowej, folderów, bez nabożeństw w intencji powołań! Brakuje dzisiaj kogoś takiego, kto przyciąga nie do siebie, ale do Chrystusa.

Jako nauczyciel powinien opat brać przykład ze św. Pawła, który radził: „przekonywaj, proś i karć”. Uwzględniając okoliczności, ma łączyć surowość z łagodnością. To łatwe chyba nie jest?

To musi być człowiek niezwykle inteligentny, duchowo inteligentny.

Ciekawe, Benedykt dzieli mnichów na trzy kategorie i wcale nie jest w tym podziale delikatny: niekarnych i niespokojnych trzeba karcić bardziej surowo; posłusznych, łagodnych i cierpliwych należy jedynie usilnie nakłaniać; natomiast niedbałych i lekceważących polecenia bez taryfy ulgowej ganić i karać.

Wtedy były baty. Mnich dostał karę chłosty i nie uciekł, nie obraził się. Pokornie przyjął. Karcenie jest zresztą dopiero na samym końcu. Opat zawsze ma „być z nimi”. Najpierw zrozum, bądź z nimi. Jako pan, jednocześnie masz być sługą. Masz być pełnym miłości ojcem. I wtedy takiego opata słucha się z ochotą. Trzeba dużej dojrzałości, roztropności i cierpliwości oraz zaparcia się siebie, by wiedzieć, kiedy surowość pomoże, nie szkodząc duchowo. „Uderz syna swego różgą, a uwolnisz go od śmierci” - mówi Pismo. A z kolei Reguła: „Opat powinien zawsze pamiętać, kim jest, jak go nazywają, i wiedzieć, że

komu dają więcej, od tego będą więcej wymagać” (2, 30). Ślubujemy posłuszeństwo i naprawę obyczajów. Wszyscy!

W Regule znajduje się osobny rozdział o zwoływaniu braci na radę. Ojciec wspominał, że to jest ważne...

Bo opat nie jest istotą wszechwiedzącą, podlega tym samym ograniczeniom, co każdy człowiek. Sam jego urząd nie gwarantuje nieomyślności. Właśnie dlatego w ważnych kwestiach ma obowiązek wysłuchać rady braci. Kapituła wygląda u nas tak: opat przedstawia daną sprawę, mnisi się wypowiadają za i przeciw, a on, wysłuchawszy opinii, podejmuje decyzję. Jeśli zbyt szybko stanie po którejś ze stron sporu czy nie wysłucha cierpliwie wszystkich uwag, sytuacja się komplikuje. Każdy następny mówca jest postrzegany albo jako zwolennik przełożonego, albo jako jego przeciwnik. A to utrudnia obiektywizm dyskusji. Przełożony szczególnie w takich sytuacjach musi być opanowany i roztropny. Jeśli tego nie potrafi, niełatwo mu będzie kierować wspólnotą.

Odnoszą się do tego słowa: „Rada ma być pokorna i uległa. Niech się nie ośmielają bronić zuchwale tego, co im samym wyda się słuszne. Niechaj nikt nie śmie spierać się ze swoim opatem” (por. 3, 4-8). Wykroczenia w tej dziedzinie powinny być odpowiednio karane. Ale z kolei opat wysłuchać powinien nawet najmłodszych: „Powiedzieliśmy zaś, że wszystkich należy wzywać na radę, gdyż Pan często właśnie komuś młodszemu objawia to, co jest lepsze” (3, 3).

Obecny opat tyniecki został wybrany jako najmłodszy profesją zakonną - gdyby uwzględnić jego wiek, to mógłby od biedy być moim wnukiem. Bracia, którzy niedawno zostali przyjęci do kapituły, mają podobnie jak ja, starszy mnich, prawo do pełnego uczestnictwa w życiu klasztoru. I często ci młodzi ludzie mają bardzo świeże spojrzenie, nieskażone zakonnym konwenansem i przyzwyczajeniami. Można powiedzieć, że często właśnie oni widzą, iż „król jest nagi”, i potrafią wskazać na rozwiązania, które nam, starszym, nie przychodzą do głowy.

Wróćmy do problemu posłuszeństwa opatowi: czy takie całkowite poddanie własnej woli drugiemu człowiekowi nie zabija indywidualności?

Moim zdaniem ważny jest cel. Spójrzmy na Otylię Jędrzejczak, na Adama Małysza, na ludzi uczących się gry na fortepianie czy występujących na scenie. Ich celem jest zdobycie pierwszego miejsca, osiągnięcie perfekcji, i dla tego celu gotowi są na wiele poświęceń. Przez całe lata poddają się rygorowi kierownictwa jakiegoś trenera czy mistrza. To on dyktuje im, co mają robić, a oni są mu bezwzględnie posłuszni. Tylko dlatego, że mu całkowicie zaufali, może nimi kierować żelazną ręką. Dlaczego ma być inaczej w odniesieniu do celu, jakim jest świętość? Jeśli zależy mi na świętości, czuję się powołany do niej, jestem wewnętrznie przekonany o słuszności dążenia do niej, to w takim razie poddaję się rygorowi drogi, prowadzącej do tego celu, bez wewnętrznego poczucia, że tracę swoją indywidualność. A jeśli nawet słowo „świętość” już dzisiaj do nas aż tak nie przemawia, chodzi przecież wciąż o powołanie, które nadaje sens całemu mojemu życiu. Jest więc dla mnie sprawą najważniejszą. Rezygnuję ze swojej woli w zewnętrznych sprawach, by poddać się całkowicie trenerowi, którym jest Jezus. To sens życia zakonnego. I prawdę powiedziawszy, taki też jest sens życia chrześcijańskiego w ogóle. Różnica tylko taka, że życie zakonne jest bardziej uporządkowane i ustalone według wypracowanych i sprawdzonych w historii reguł. Mam wrażenie, iż w tych ustalonych ramach pozostaje mi tak wiele jeszcze wolności i miejsca na własną inwencję, że czasem aż bym chciał i z tego zrezygnować. Na podstawie własnego doświadczenia, tyłu już lat weryfikacji drogi posłuszeństwa, coraz bardziej jestem przekonany, że ma ona głęboki sens. Nie realizuję oczywiście reguły idealnie, ale nie czuję zupełnie, by to poddanie woli Chrystusowi było skrepowaniem mojej indywidualności. Przemyślmy to do końca: prawdziwa wolność jest czymś wewnętrznym, a nie zewnętrznym. Nawet w obozach koncentracyjnych i w więzieniach człowiek dopóty zachowuje swoje człowieczeństwo i

godność, dopóki czuje się wewnętrznie wolny, dopóty chroni siebie przed nienawiścią do oprawców. Nie chcę przez to oczywiście powiedzieć, że dojrzewanie duchowe wymaga aż tak skrajnych prób.

Wiele dziś mówi się o wolności rozumianej jako brak zewnętrznego przymusu, a jednocześnie jak popatrzymy na to, co dzieje się na przykład na rynku pracy, do jakich rzeczy człowiek jest zmuszany, to rygor zakonny przy tym zupełnie błędnie. Ojciec ma w Regule zapisany pewien porządek, w którym jest miejsce na wypoczynek, a tu nie ma porządku, jest pełna dyspozycyjność.

Zakon jest drogą wymagającą, która jednak zawsze szanuje człowieka. Natomiast współczesny świat często jakby o człowieku zapominał.

## 4. Pokora

„Powiedział abba Antoni: „Zobaczyłem wszystkie sidła nieprzyjaciela rozpostarte na ziemi, jęknąłem więc i powiedziałem: A któż się im wymknie?. I usłyszałem głos mówiący do mnie: Pokora” „.

Święty Benedykt poświęcił pokorze osobny rozdział swojej Reguły. Wygląda na to, że pokora była dla niego bardzo ważną, kto wie, czy nie najważniejszą z cnót. Kształtowanie pokory przedstawił w formie dwunastu stopni. Odnoszę jednak wrażenie, że kolejność tych stopni jest dość przypadkowa...

Rzeczywiście, żadna inna cnota nie została tak przez niego szczegółowo opracowana. Prawdą jest też, że kolejność stopni nie odzwierciedla wzrastania trudności w ćwiczeniu się w pokorze. Te stopnie traktujemy jako swego rodzaju rusztowanie. Nie chodzi jednak o sztywne trzymanie się, jakby się mogło wydawać, dość przypadkowego porządku. Pomyśl na uporządkowanie postępowania według stopni brał się stąd, że w czasach Benedykta na ogół ludzie nie umieli czytać, chodziło więc o łatwość zapamiętania. Ważna jest myśl, a nie liczba czy podział na stopnie. Przypomina mi się anegdota. Kiedyś pewna pobożna dusza zapytała kierownika duchowego: - Proszę ojca, osiągnęłam już dwanaście stopni pokory. Co mam robić dalej? A kierownik duchowy na to: - Zejdź na dół: zacznij znów od pierwszego.

Przecież jak człowiek sobie wyobraża, że stąpa coraz wyżej po kolejnych stopniach drabiny pokory, to zbliża się nie do pokory, tylko do pychy. Ktoś prawdziwie pokorny jest jak najdalszy od tego, by myśleć o sobie, że jest coraz bardziej pokorny. Czy zatem te stopnie w ogóle miały sens?

Dlatego ta drabina nie odzwierciedla wzrastania w cnocie pokory. Nie jest tak, że im dalej, tym trudniej. Najtrudniejszy jest pierwszy stopień, a potem chodzi o to, by wytrwać w postępowaniu na miarę konkretnych potrzeb i na miarę rozumienia, czym jest życie mnisze - dawniej i dziś. Dlatego nie wszystkie elementy Reguły są nadal w pełni aktualne.

Rozdział o pokorze zaczyna się przypomnieniem słów Jezusa: „Każdy, kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się poniża, będzie wywyższony (Łk 14, 11)” (7, 1). To stwierdzenie było krytykowane w historii etyki. Na przykład Nietzsche zarzucał chrześcijaństwu, że z poniżania się uczyniło cnotę. Można rzeczywiście zapytać: dlaczego mam się poniżać?

Zarówno Jezus, jak i święty Benedykt nie nakazują poniżania się sztucznego. Ktoś, kto źle rozumie chrześcijańską doskonałość i za wszelką cenę dąży do perfekcjonizmu, skazany jest na udawanie. Ale w Regule jest też powiedziane: „widząc w sobie jakieś dobro, przypisywać je Bogu, nie sobie” (4, 42). Nie chodzi o to, że ja nie widzę dobra, ale o to, że jest ono ostatecznie darem Boga. Takie podejście chroni od fałszywej pokory, która przeradza się w pychę. To chyba właśnie Nietzsche powiedział, że uwierzyłby, gdyby chrześcijanie mieli bardziej zbawione miny. Jeśli wokoło brak prawdziwych świadków wiary, a dostrzec można jedynie ludzi, którzy realizują wzniosłe i bardzo sensowne nakazy Ewangelii, ale w sposób karykaturalny, to rzeczywiście można się do chrześcijaństwa zrazić. Jan XXIII żył w czasach, kiedy papież wyglądał jeszcze jak autentyczny satrapowie: tiara, złoto, dwór, etykieta. Protestanci obecni na Soborze Watykańskim II mówili: regnum papae - królestwo papieża. A jednak wszystkie ich kąśliwe uwagi rozbrajała pogodna twarz Jana XXIII. On swoją niezwykłą osobowością sprawiał, że tak rzucająca się w oczy otoczka papieskiego przepychu przestawała być ważna. Jeżeli będziemy tylko nauczycielami, a nie świadkami, to nie zdołamy ludziom pokazać sensu chrześcijańskiej pokory.

A czym jest fałszywa pokora?

Jedną z jej form jest na pewno nastawienie, by za wszelką cenę żyć z wszystkimi w zgodzie. Gdyby Pan Jezus żył ze wszystkimi w zgodzie, to nie umarłby na krzyżu. Dogadałby się z faryzeuszami, Herodowi by się uklonił. Nieraz trzeba być twardym. Chodzi też o to, by unikać błędnych interpretacji. W zakonie to nam często grozi. Czasem ktoś zastanawia się: czy obserwacja, czyli dokładne przestrzeganie zakonnych przepisów, czy miłość? To pytanie w ogóle jest nie na miejscu. Jeśli przeciwstawimy obserwację miłości, doprowadzimy życie zakonne do parodii. Życie bez miłości jest zawracaniem głowy. Przymuszanie do dobra może doprowadzić do takich samych obozów koncentracyjnych, jak przymuszanie do zła - tak uważała Zofia Kossak-Szczucka. To jest powiedziane z przesadą, ale trafnie przestrzega przed tym, co nam grozi w życiu zakonnym i w ogóle chrześcijańskim.

Benedykt, mówiąc o pokorze, przypomina biblijny motyw. Łącząca niebo, i ziemię drabina przyśniła się Jakubowi - po niej wstępowali i zstępowali aniołowie. Benedykt mówi, że „dwoma bocznymi żerdziami tej drabiny są, jak sądzimy, nasze ciało i dusza”. To motyw, jak na ówczesne pogardliwe podejście do ciała, bardzo przenikliwy. Szczeblami tej drabiny są różne stopnie pokory i karność : zakonnej, po których wznosimy się do nieba, a zarazem schodzimy z duchowych wyżyn na ziemię, by służyć innym. Czy taki jest sens pokory?

Im głębszy wykopiesz fundament, tym większy gmach na nim możesz postawić. Na płytkim fundamencie postawisz mały gmach. Chodzi o pychę, czyli przypisywanie sobie tej wątpliwej zalety, że wiem najlepiej: tylko moje pomysły się liczą, bo ja jestem najmądrzejszy. Taka postawa ludzi zniechęca i odpycha. Miejmy odwagę przyznać się przed sobą, że czegoś nie umiemy, coś nam nie bardzo wychodzi. I nie bójmy się szukać zastępców i następców. Zaufajmy im, niech zrobią to lepiej. (Jest takie dowcipne powiedzenie: „po co mi rozum, jak mam zastępców”). Tego wstępowania i zstępowania, o których mówi Benedykt, możemy uczyć się od świętych. Prawdziwa świętość nie udaje, nie mizdrzy się przed ludźmi, tylko patrzy na Boga. Jeżeli będziemy porównywać się z ludźmi i zobaczymy lepszych od siebie, to zrodzi się w nas zazdrość i smutek. Jeżeli natomiast zobaczymy gorszych, grozić nam będzie poczucie wywyższania się, pychy. Dlatego porównuj się z Panem Bogiem, z którym zawsze przegrasz, bo jesteś od niego niższy, i zawsze wygrasz, bo wiesz, że jesteś przygarniany i kochany. Ludzie przebywający w mroku nie dostrzegają wielu rzeczy. W mroku mój habit jest czarny jak noc, tymczasem, jak się rzuci na niego pełne światło, widać, że i tu plamka, i tam. Często myślimy w ten sposób: chodzę do kościoła, żony nie biję, nie zdradzam, nie kradnę, nie upijam się, wobec tego jestem porządnym człowiekiem. A święty powiedziałby: to dopiero początek rzemiosła. Pragnąc, by rzemiosło naszego życia stało się sztuką świętości, potrzeba jeszcze i natchnienia, i umartwienia stosownego do moich możliwości, i uwagi skierowanej na drugiego człowieka, a przede wszystkim przepełnienia wszystkiego miłością Pana Boga. Wtedy nasze życie nie jest tylko dla nas.

Wzywając do pokory, Benedykt odwołuje się do Bożej wszechwiedzy: „Człowiek powinien być przekonany, że Bóg z nieba patrzy nań zawsze i o każdej porze” (7, 13). Ten motyw Boskiego spojrzenia tak bardzo w dzieciństwie przeraził znanego filozofa egzystencjalistę Jeana Paula Sartre’a, że stał się on ateistą...

Bóg patrzy z miłością. Jestem „pod miłosiernym okiem Ojca”, który mnie rozumie, pozwala nawet na grzech, by móc przebaczyć. Pismo Święte mówi, że „początkiem mądrości jest bojaźń Boża”, a dopiero potem się wchodzi na szczyty. Z tą „bojaźnią” jednak tak można się zżyć, że w niej pozostaniemy. Stąd bierze się cierpiętnictwo - umiłowanie cierpienia dla niego samego, a także różne stereotypy, np. że jeśli Bóg kocha, to zsyła krzyżyki itd. Tymczasem cierpienie bez miłości jest całkiem bezsensowne. Przeżywając cierpienie, powinniśmy przede wszystkim modlić się: Panie Boże, daj mi miłość, bo bez miłości ja tego nie zniosę!

Zatem Bóg nie jest podglądaczem, który z satysfakcją czyha na nasze potknięcie, żeby móc nas ukarać. Jest Osobą, która kocha. Zauważmy, że świadomość, iż jesteśmy kochani,

mobilizuje nas. Przed ludźmi, na których nam zależy, wstydzimy się naszych występków. Jest mi głupio, że mój spowiednik ciągle słyszy te same grzechy, choć wiem, iż zawsze mi przebaczy w imieniu Pana Boga. Taki zdrowy wstyd bardzo człowieka mobilizuje. W szkole, gdy uczeń lubi nauczycielkę, to dla niej stara się przygotować do lekcji jak najlepiej. Zresztą nie tylko w szkole. Nawet klerycy, studenci kochanego profesora księdza Stanisława Grzybka, mówili: wstyd byłoby u niego nie zdać. Jeśli Bóg jest kimś, kto się dla mnie liczy, będę się starał unikać złego postępowania.

Przy okazji pokory Benedykt wypowiada także i taką, dziwną dla nas myśl: „Poucza nas Pismo Święte: „Nie idź za tymi namiętnościami” „ (Syr 18, 30) (7, 23).

Im bardziej moja wola jest złączona z wolą Bożą, tym dla mnie lepiej. Gdyż wiem, że ten, który mnie kocha, chce dla mnie tylko dobra. A przecież jako Bóg wie lepiej, co dla mnie jest dobre. Przypomina to relację dziecka i ojca. „Ojciec za rękę prowadzi mnie” - czasem śpiewa młodzież. Pożądanie cielesne jest czymś naturalnym. Ciało jest przecież po to, żeby się rozmnażało. To, co nazywamy pokusą, jest ostatecznie naturalną tendencją ciała, by przekazać potomstwo. A to nie jest zadaniem mnicha.

Jednakże Jan Paweł II wyraźnie mówił także o „oblubieńczej właściwości” ciała, odrębnej od funkcji prokreacyjnej. Ciekawi mnie, jak ojcowie sobie radzą z platonizmem Benedykta? Czytamy na przykład: „Co do pożądań ciała, to wierzymy, że Bóg jest zawsze przy nas obecny, gdyż prorok mówi do Pana: Przed Tobą, Panie, wszelkie me pragnienie (Ps 38, 10). Trzeba zatem wystrzegać się złych pożądań, gdyż śmierć stoi na progu rozkoszy” (7, 23-24). Kojarzenie śmierci z rozkoszą jest manichejskim podejściem do życia. Świat przecież powinien być rozkoszny!

Ale w tym kontekście chodzi o rozkosz grzeszną, niszczącą. Rozkosz sama w sobie, tak samo jak pożądanie, jest zupełnie zdrowa, bo normalna. Natomiast nie wszelka rozkosz mi się należy. Gdy mam żonę, a zobaczę kobietę piękniejszą od niej, młodszą, bardziej powabną, która w dodatku mnie prowokuje, to rozkosz nienależna, i dlatego grzeszna, jest na wyciągnięcie ręki. Kiedy po nią sięgnę, depreczuję wartość, jaką jest wierność żonie. I dlatego ta rozkosz jest dla mnie śmiercią - jak mówi Benedykt. Śmiercią mojej miłości.

Pokorę zdobywamy także, „jeśli w sprawach trudnych i przeciwnościach, a nawet doznając jakiejś krzywdy, zachowujemy w posłuszeństwie milczącą i świadomą cierpliwość, a znosząc wszystko, nie słabniemy i nie odchodzimy, gdyż Pismo mówi: „Kto wytrwa do końca, ten będzie zbawiony” „ (Mt 24, 13) (7, 35-36).

Jest taka piosenka: „Na uderzenie nawałnic / Twarz wystawię zwyczajnie / Jeśli szczęście mi obiecał czas”. Zamieńmy w tej piosence słowo „czas” na słowo „Pan”, a otrzymamy podobną myśl. Obrywam, dostaję lanie - trudno. Dla tego celu, do którego dążę, warto. Skąd czerpać do tego siły? Pamiętajmy, że nie jesteśmy sami. Inni też „obrywają”, a biegną do celu. „Z wami to nawet ubożyzna miła”, jak powiedziała matka z Balladyny do swoich córek. Pamiętam taką historię: dziewczyna pokochała chłopaka, którego w jakiś czas potem zesłano na Sybir. Pojechała z nim, choć nie musiała. Chciała towarzyszyć mu bez względu na trudności i cierpienia. A ksiądz Tadeusz Fedorowicz ze Lwowa też dobrowolnie, choć nie był wyznaczony do wywiezienia, pojechał ze swymi parafianami na nieludzką ziemię. I tak robi Jezus. Jako Syn Boży nie musiał cierpieć, a jednak chciał być z nami do końca. Bóg Stwórca zgodził się na to, by ludzie i aniołowie mieli wolną wolę. Skutek jest taki, że świat jest nieustającym dramatem. Ale nie zostawił nas samych sobie. Jezus wszedł w samo centrum i głębię tego ludzkiego dramatu, by go przemienić w chwałę i wieczne szczęście - z miłości. To jest tajemnica wiary, musimy pochylić głowy, bo jej do końca nie zrozumiemy, ale na pewno daje nam ona siły do zmagania się z życiem.

Jeden ze stopni pokory wzywa, by „w pokornym wyznaniu wyjawiać swojemu opatowi wszystkie złe myśli przychodzące do serca lub złe czyny w ukryciu popełnione” (7, 44). Czy od strony psychologicznej nie jest to zbyt ryzykowne?



Grzechy wyjawia się dzisiaj tylko ojcu duchownemu, czyli spowiednikowi. Natomiast jeśli ma się takie zaufanie do opata, że można z nim rozmawiać rzeczywiście jak z ojcem, to wspaniale. Benedykt nie dostrzegał jeszcze wtedy ryzyka manipulowania przełożonym poprzez spowiedź. Później uregulowały to przepisy zakazujące wręcz spowiadania się u przełożonych. To ryzyko pokażę na drastycznym przykładzie. W akcie zaślepiającej jakiejś tam rodowej zemsty służący dosypał biskupowi trucizny do wina mszalnego i wyspowiadał się z tego przed nim. Świętobliwy biskup, nie chcąc złamać tajemnicy spowiedzi, jak gdyby nigdy nic odprawił Mszę świętą, pijąc zatrute wino, i zmarł. Świadczenie takiego heroizmu wstrząsnęło jednak sumieniem służącego. Nawrócił się i przyznał do swojej zbrodni. Ale ukażmy bardziej przyziemny przykład: mnich notorycznie łamie regułę, ale sumiennie spowiada się z tego przed opatem. Wszyscy w klasztorze to dostrzegają, jednak opat na kapitule nie może zareagować, gdyż związany jest tajemnicą spowiedzi. Z drugiej strony, trudno jest trzymać się bezwzględnie reguły, że nigdy nie spowiadam podwładnych, nawet gdy usilnie o to proszą. Tu decyduje roztropność i zaufanie do drugiego człowieka.

Kolejne stopnie wydają się mniej doniosłe. Szósty zdobywa się na przykład tak: „Jeśli mnich zadawała się wszystkim, co tanie i ostatnie, a cokolwiek mu zlecono czynić, uważa siebie zawsze za sługę złego i niegodnego” (7, 49). Nie zawsze opłaca się przecież kupować „co tanie i ostatnie”...

„Tani” na pewno jest materiał na habit, który będzie mi służył przez dwadzieścia lat, choć w sklepie będzie drogi. Mówi się: jestem za biedny, więc nie stać mnie na tanie rzeczy. Dlatego szafarz, który zajmuje się zaopatrzeniem klasztoru, musi roztropnie decydować, co służy mnichom, a co jest luksusem i zbytkiem. Chodzi jednak o to, bym sam przyjmował każdą daną mi rzecz jednakowo, niezależnie od tego, czy jest ona licha, czy bardzo dobrej jakości.

Kiedy wróciłem z Lubinia do Tyńca w 1963 roku, nie miałem koca na łóżko. Poprosiłem więc o niego i dostałem taki mniej więcej jak w więzieniu. Przyznam, że często walczyłem z pokusą, żeby mieć porządny, miły w dotyku koc. Ale to nie była i nie jest do dzisiaj rzecz konieczna. Jeśli jednak coś sprzeciwiałoby się zdrowemu rozsądkowi, na przykład chodzenie w dziurawych butach, byłoby to zwyczajne dziadostwo, a nie ubóstwo. Lepiej przecież chodzić w porządnym butach i się nie przeziębicić, niż wydawać potem pieniądze na lekarstwa. Benedykt jest przeciwny „dziadowaniu”. A więc nie przebieram, nie kapryszę. Za czasów komunistycznych, kiedy wszystkiego brakowało, mnisi czasem wydziwiali, a szafarz na głowie stawał, żeby trzydziestu chłopom zapewnić szczoteczki do zębów, mydło jako takie czy papier toaletowy. Chodzi o to, by nie mieć nieuzasadnionych wymagań. A z drugiej strony, mam prawo powiedzieć, że coś jest dla mnie za trudne w obsłudze albo nieużyteczne. I na tym się bardzo dobrze wychodzi, bo się zaoszczędza dużo energii i czasu. Jest, to jest, nie ma, to nie ma. Czasem ktoś z bliskich czy znajomych coś nam podaruje. Wtedy pytamy o zgodę opata, czy możemy to zatrzymać. Niekiedy lepsza woda toaletowa przydaje się... ze względu na miłosierdzie wobec bliźnich. Mnie komputer zupełnie nie jest potrzebny, ale ponieważ przełożeni uznali, że mam pisać, więc klasztor sprawił mi taki sprzęt i musiałem nauczyć się go obsługiwać. Chcąc wykorzenić pęd do posiadania różnych zbędnych rzeczy, opat ma zapewnić to, co niezbędne: jak czytamy w Regule - i tabliczki do pisania, i rysiki, i chusteczki do nosa, i igłę.

Jeden ze stopni pokory zakazuje śmiechu - to już drugie miejsce w Regule na ten temat. Mnich nie powinien być „łatwy i skory do śmiechu, ponieważ zostało napisane: „Głupi przy śmiechu podnosi swój głos”, (Syr 21, 20) (7, 59).

Ówczesni ludzie mieli inną mentalność. Do klasztoru przyjmowano wszystkich, którzy się zgłosili. Bez żadnej selekcji. Bez wykształcenia. W jednym miejscu razem żyli ludzie bardzo prości, często rubaszni. Chodziło o to, by okiełznać ich temperamenty. Trzeba odróżnić szczerzy, radosny śmiech od rechotu. Rechoczą prostytutki, kiedy naśmiewają się z

kogoś. Jednocześnie nie umiemy poznawać się w milczeniu. Milczenie kojarzone jest z obojętnością albo nawet z niechęcią. Trzeba ze sobą rozmawiać. Ale jak to wypośrodkować? Człowiek współczesny musi się komunikować. Wiemy jednak, że słów, gwaru, szumu mamy nadmiar. To jest zadanie dla współczesnych zakonów, zwłaszcza benedyktyńskiego: rozpracować, ustalić sens, o co w tym wszystkim chodzi, z powrotem odkryć, poprzez milczenie, wagę słów. Jeżeli przesadzimy w jedną stronę i zlikwidujemy milczenie, będziemy się mogli doskonale poznawać, ale utracimy coś istotnego. Jeśli z kolei przesadzimy w drugą stronę i wprowadzimy całkowite milczenie, staniemy się zakonem niy-monastycznym, tracąc charyzmat benedyktyński. Powiedziałbym, że jesteśmy wspólnotą z lekką skłonnością do monastycyzmu. Przyjeżdżający do Tyńca zwracają uwagę na milczenie w klasztorze. Nie jest do pomysłenia, żeby na korytarzu ktoś krzyknął. Na ogół u nas jest cicho. Zresztą warto popatrzeć na młodych ludzi zwyczajnie w sobie zakochanych. Potrafią siedzieć przez dłuższy czas przytuleni i nic nie mówić. Słowa mogłyby zniszczyć to, co jest między nimi. Słowa tu są niepotrzebne. Nieadekwatne. Ale - trzeba milczeć „na ten sam temat”. Można też zresztą milczeniem manipulować. Czasem muszę się przełamać wewnętrznie, żeby okazać komuś, że nie mam do niego niechęci czy urazy. Wtedy słowa mogą mieć większą wagę niż milczenie.

Ostatni, dwunasty stopień pokory jest trochę dziwny: osiąga się go, „jeżeli mnich nie tylko w sercu, ale także w samej postawie okazuje zawsze pokorę oczom ludzi”. I dalej: „W czasie służby Bożej, w oratorium, w klasztorze, w ogrodzie, w podróży, na polu, czy gdziekolwiek indziej, bez względu na to, czy siedzi, chodzi, czy też stoi, zawsze niech ma spuszczoną głowę i oczy skierowane ku ziemi” (7, 62-63). Czy to nie jest jednak zbyt sztuczne - taka postawa pokory na pokaz i trochę na siłę?

Choć to ostatni szczebel, nie chodzi w tym przypadku o szczyt doskonałości, ale jakby o doszlifowanie naszej postawy. Na modlitwy do kościoła zawsze przychodziło się w kapturze, ręce przed sobą wetknięte za pas, pod szkaplerzem. Człowiek milczący i skupiony wobec majestatu Bożego. Nie czas wtedy na rozmowy i pospieszne załatwianie różnych spraw. Dzisiaj zdarza się nieraz, że osoby duchowne w stroju liturgicznym idą na modlitwę, „machając rękami jakby cepami”, rozmawiają, śmieją się, a przy ołtarzu czy w chórze zakonnym cały czas gapią się na to, co się dzieje w kościele. Wierni bardzo wyraźnie widzą takie zachowanie i stosownie je oceniają. Nie sprzyja to raczej ich osobistej pobożności. Pamiętam Jana Pawła II odprawiającego Mszę świętą na krakowskich Błoniach. Ponad milion ludzi przed nim, setki biskupów, transparenty, chorągiewki, okrzyki - nic Go nie rozpraszało. On naprawdę Mszę odprawiał z wielkim skupieniem. Tymczasem inni z koncelebry... wypatrywali znajomych. Wierni na to bardzo zwracają uwagę. Nie można być „bratem łąką” zawsze i wszędzie.

Ale pamiętam, że kiedyś podczas targów książki piliśmy razem herbatę w bufecie. Obok do stolika podeszło kilka harcerek. Bardzo szybko się Ojciec do nich dosiadł...

Co innego być otwartym na ludzi, a co innego być ciekawskim. Otwartość jest ważna, bo pozwala ludziom pokonać dystans i nieśmiałość wobec osoby zakonnej. Ale w takiej swobodzie istnieje też pewna granica, której nie powinno się przekraczać. Przeciętny człowiek uważa, że zakon to miejsce, gdzie jest więcej opanowania. To imponuje ludziom. Z jednej strony dobrze jest być dla ludzi, a z drugiej - gdy będziemy „za bardzo”, zacznie nas to rozpraszać i ludzie niewiele z tego skorzystają. Trzeba wypośrodkować. Być z Bogiem zawsze, nie rozglądać się na boki - o to ostatecznie chodzi. Ale w Bogu widzieć ludzi, a w ludziach Boga. To się mistrzowsko udawało Janowi Pawłowi II.

Na końcu rozdziału o pokorze jest powiedziane, do czego te wskazówki mają ostatecznie prowadzić: „Przeszedłszy wszystkie owe stopnie pokory, mnich dojdzie wkrótce do tej miłości Boga, która, jako doskonała, usuwa precz lęk” (1 J 4, 18) (7, 67). Muszę przyznać, że gdyby tego zdania zabrakło, trudno byłoby zaufać św. Benedyktowi.

Bo na końcu jest miłość. A tam gdzie miłość, nie ma lęku.

## 5. Modlitwa

„Powiedział abba Zenon: „Kto chce, żeby Bóg szybko go wysłuchał, gdy tylko wstanie i podniesie ręce do Boga, ten powinien w pierwszej kolejności modlić się z serca nawet nie za własną duszę, ale za nieprzyjaciół. Jeśli to osiągnie, to o cokolwiek by prosił, Bóg go wysłucha”„.

Benedyktyni kojarzeni są z hasłem: „módl się i pracuj” („ora et labora”). Tymczasem - pomijając rozdział poświęcony odmawianiu Psalmów, czyli tzw. oficjum - Benedykt niewiele mówi o modlitwie. Mało tego, zaleca, by modlitwa była zwięzła: „Nie wielomówstwo, lecz tylko czystość serca i łzy skruchy zasługują w oczach Boga na wysłuchanie. Dlatego też modlitwa powinna być krótka i czysta, chyba że natchnienie łaski Bożej skłoni nas do jej przedłużenia. Wspólna jednak modlitwa niech będzie zawsze krótka” (20, 3-4).

Oficjum, czyli wspólna modlitwa liturgiczna, zwana dawniej brewiarzową, była pierwotnie bardzo rozbudowana i odmawiana o wyznaczonych porach dnia i nocy. W sumie to było kilka godzin modlitwy. Niewykluczone, że Benedykt nie chciał, by opat mnożył dodatkowe wspólne modlitwy. Trzymanie łuku wciąż napiętego zwykle nie wychodzi łukowi i łucznikowi na dobre. W opactwie tynieckim liturgiczna modlitwa chórowa wyznacza nam rytm dnia. Spotykamy się w chórze pięć razy dziennie. Bardzo niewiele mamy wspólnych modlitw dodatkowych, tzw. kapliczek.

Jak zatem przebiega powszedni dzień mnicha?

W czasach przedsoborowych wyglądało to nieco inaczej. Wstawaliśmy o godzinie czwartej trzydzieści pięć. Liczyło się każde pięć minut, ponieważ o piątej rozpoczynały się pierwsze modlitwy poranne

- Laudes. Uważano, że dwadzieścia pięć minut na obudzenie się i poranną toaletę powinno wystarczyć. I rzeczywiście wystarczało czasu, by za trzy minuty piąta stanąć w prezbiterium tynieckiego kościoła. Wówczas obowiązywały tak zwane dwa chóry - nie wszystkie modlitwy odmawiano wspólnie. Część braci, tzw. konwersi - zwykle prości ludzie nie znający łaciny - mieli swój łacińsko-polski modlitewnik. Ci bracia nie byli kapłanami i składali - po ślubach czasowych - tylko śluby wieczyste. Nie powodowały one radykalnego wyrzeczenia się własności ani nie stanowiły przeszkody dla małżeństwa. Dlatego właściwie owi bracia nie byli jeszcze w pełni mnichami. W chórze zakonnym nie nosili uroczystego stroju, kukulli, długiej fałdzistej szaty z rękawami, tylko czarną kapę. W pełni mnichem był kapłan, który złożył śluby uroczyste, stanowiące przeszkodę do małżeństwa i równoznaczne z radykalnym wyrzeczeniem się wszelkiej własności. Profesję uroczystą składało się po ślubach czasowych, zwykle obowiązujących przez trzy lata. Ten podział na chóry wynikał z klerikalizacji zakonu i nie był zgodny z duchem Reguły - Benedykt nie wprowadzał przecież żadnych podziałów wśród braci. Został on zniesiony dopiero po soborze - w dużej mierze powrócono wówczas do źródeł.

Ale wracając do ówczesnego porządku dnia, po modlitwie porannej były Msze święte, odprawiane naraz przy wszystkich dostępnych ołtarzach - nie było jeszcze wtedy koncelebry, więc każdy mnich odprawiał swoją Mszę. Jeśli było mniej kapłanów, to odbywała się tylko jedna seria mszy, jeśli było ich więcej, to za pół godziny była następna seria, a niekiedy jeszcze trzecia. Niektórzy już o szóstej byli po Mszy świętej i po porannych modlitwach wspólnych. Do śniadania o wpół do ósmej można było jeszcze odprawić swoje lectio divina, czyli czytanie duchowne. Stanowiło to duży ładunek modlitwy z samego rana, i podobnie jest ułożone dzisiaj.

Wstajemy o wpół do szóstej. O szóstej jest modlitwa poranna, potem o wpół do siódmej Msza święta i ci, którzy nie mają jakiegoś pilnego zadania zaraz po niej, do śniadania, mają czas na modlitwę i czytanie duchowne. Najlepiej odprawić to przed śniadaniem, albo zaraz po śniadaniu, zanim się rozpocznie pracę. W ten sposób Panu Bogu składa się w ofierze pierwsze chwile dnia - podobnie jak „pierwociny łona człowieczego i zwierzęcego, pierwociny ogrodu, sadu, pola”, o czym mówi Pismo Święte. Jest to ważne, bo od wczesnego rana cały dzień poświęca się w ten sposób Bogu i przeżywa razem z Nim.

Dawniej odprawiano modlitwę chórową siedem razy w ciągu dnia. Dzisiaj najważniejsze są: modlitwa poranna, czyli jutrznia, i wieczorna - nieszpory, odprawiane u nas obecnie o godzinie dziewiętnastej - dwa modlitewne filary, wokół których obraca się życie mnichów. Dawniej w ciągu tygodnia odmawiano cały psalterz, czyli sto pięćdziesiąt psalmów, po reformie liturgicznej mamy na to dwa tygodnie (a inne zakony i księża diecezjalni - cztery). Modlitwa brewiarzowa to takie westchnienie - dłuższe i głębsze. Oprócz jutrzni i nieszporów odmawiamy modlitwę południową przed obiadem i kompletę, czyli modlitwę wieczorną, o godzinie dwudziestej piętnaście. Godzina czytań w dni powszednie wyznaczona jest na piętnastą. Zdecydowaliśmy, że modlitwa wieczorna nie będzie zbyt długa, gdyż mnisi, obciążeni różnymi zajęciami, często po prostu już nie dają rady. Są zresztą wśród nas „skowronki” i „sowy” (ja raczej wieczorem jestem bardziej aktywny). Święty Benedykt żył w czasach, w których klasztor stanowił wspólnotę stosunkowo niezależną od świata i mnisi nie musieli angażować się zbyt w prace poza domem zakonnym. Dzisiaj trzeba się liczyć z warunkami zewnętrznymi i umieć się także do nich dostosować. Modlimy się w kościele. Tam, gdzie to jest możliwe, bez niewygody wielkiej dla wiernych, nabożeństwa parafialne urządza się w takich godzinach, żeby nie kolidowały z modlitwą monastyczną. Przedtem były w Tyńcu dwa kościoły: klasztorny i parafialny pod wezwaniem św. Andrzeja Apostoła, zbudowany na cmentarzu grzebalnym, trochę poniżej wzgórza klasztorowego. Został on zniszczony i rozebrany zaraz po konfederacji barskiej.

Benedykt zabronił mnichom wypowiadać po modlitwie wieczornej, czyli komplecie, nawet jedno słowo. „Jeśli się znajdzie ktoś taki, kto tę regułę milczenia przekroczy, podlega surowej karze” (49, 9). Dlaczego? Przecież wieczór sprzyja rozmowom, budowaniu wspólnoty.

Cywilizacja współczesna zakłóciła rytm przyrody. Elektryczność sprawia, że dzisiaj można czytać nawet przez całą noc. Dawniej rytm dnia był zgodny z rytmem przyrody. Mnisi wstawali przed świtem, a kładli się spać o zmierzchu. Noc przeznaczona była na spoczynek, symbolizowała z jednej strony śmierć, a z drugiej - oddanie się z ufnością w ręce Pana Boga. Wszystkie zakony i instytuty życia religijnego mają do dzisiaj silentium sacrum - święte milczenie. Chodzi o to, by wskazać na wartość nocy jako odpoczynku. Jeśli się nie dośpi, to podczas pracy w dzień jest trudniej. Milczenie sprzyja równowadze, choć kontakty międzyludzkie - długie nocne rodaków rozmowy - to też są cudowne rzeczy. Ale mnich czuje się powołany do czegoś innego. Gdy komuś rzeczywiście potrzebna jest pilna rozmowa, to oczywiście możliwe. Święty Benedykt przegadał kiedyś ze swoją siostrą, świętą Scholastyką, całą noc. Inna rzecz, że on chciał wracać do klasztoru, ale ona tak dawno go nie widziała i tak bardzo kochała, że wymodliła... ulewny deszcz, który opóźnił powrót. Nie można zakładać z góry, a dzisiaj jest to niekiedy modne, że milczenie to coś, co ludzi dzieli. Nie dowierza się wartości milczenia. Czy nie wierzy się miłości? W miłości też czasem się milczy i to może być wymowniejsze od słowa...

Dla mnicha nie może być nic ważniejszego od wspólnej modlitwy chórowej. „Wporze Bożego

Oficjum skoro tylko odezwie się sygnał, trzeba pozostawić wszystko, co mamy w rękach, i biec jak najspieszniej” (43, 1). Opieszali za karę mają stanąć na końcu i „zadośćuczynić” za swoje spóźnienie. Czy to się praktykuje do dzisiaj?

Podczas oficjum stajemy w porządku wyznaczonym liczbą lat w zakonie - tzw. precedencji. Gdy kogoś brakuje, wtedy przesuwamy się o jedno miejsce. Jeśli ktoś się spóźni, staje zatem na końcu. Nie zajmuje się tylko miejsc opata, przeora i podprzeora, jeśli ich w chórze nie było. Dawniej mnich spóźniony klękał na środku chóru i dopiero gdy opat dał znak, stawał na ostatnim miejscu. Przed oficjum porannym i wieczornym był zwyczaj odmawiania na początku psalmu trzeciego lub sześćdziesiątego szóstego. To był taki psalm dla spóźnialskich, odmawiało się go celowo wolno, żeby w tym czasie wszyscy zdążyli przyjść. Dziś już z tego zrezygnowano. Szkoda, bo mnie się wydaje, że to był dobry zwyczaj, szanujący słabość człowieka czy też konieczność wykończenia jakiejś pracy nie cierpiącej zwłoki.

W Regule znajdziemy surowe normy dotyczące pomyłek podczas modlitwy, co może zaskakiwać: „Jeśli ktoś pomyli się w psalmie, responsorium w antyfonie albo w lekcji, powinien dla zadośćuczynienia upokorzyć się przed wszystkimi. Gdyby tego nie zrobił, podlega surowszej karze, jako że nie chciał naprawić przez pokorę błędu popełnionego przez niedbalstwo. Chłopcy za takie przewinienie mają otrzymać chłostę” (45, 1). Mam wrażenie, że modlitwa, zwłaszcza dla młodszych, musiała być bardzo stresująca.

Tak teraz na to patrzymy, a wówczas takie było wychowanie. Wszyscy wiedzieli, że oficjum jest najważniejsze dla mnicha. Dzisiaj też w razie jakiejś znaczniejszej pomyłki podczas wspólnych modlitw klękamy na miejscu, na którym stoimy, w geście wynagrodzenia. Jeśli zaś pomyłka jest znaczna i wprowadza zamieszanie wśród modlących się, wtedy wychodzi się na środek chóru i tam klęczy, dopóki przełożony nie da znaku, że już dosyć. W klasztorze jest to zupełnie zrozumiałe, gdy pojmuje się znaczenie służby Bogu samemu.

Skoro o karach mowa, to oprócz wyrzucenia z klasztoru w skrajnych przypadkach, jako największą karę za najcięższe przewinienia Reguła przewidywała czasowe wyłączenie ze wspólnej modlitwy i posiłków. „Kogo za ciężkie wykroczenie wyłączono z udziału we wspólnej modlitwie i posiłku, ten niechaj rzuci się na ziemię przed drzwiami oratorium w czasie, gdy odprawia się w nim Służba Boża. Niech nic nie mówi, a tylko leży twarzą do ziemi, upadłszy pod nogi wszystkim, którzy z oratorium wychodzą. I będzie to czynił tak długo, dopóki opat nie zdecyduje, że dość już odpokutował” (44, 1-3). Czy to nadal się praktykuje?

Zostały takie smutne szczątki. W wypadku jakiegoś poważniejszego wykroczenia funkcjonuje zwyczaj nazywany „satisfakcją w chórze”. Wychodzi się na środek chóru, jak wspomniałem w odpowiedzi na poprzednie pytanie, i podczas odmawiania psalmów klęka się na dwa, jeden czy pół psalmu, dopóki przełożony nie pozwoli powrócić na miejsce. Tak karze się przewinienia wobec wspólnoty. Natomiast jeśli chodzi o grzechy, to Reguła wyraźnie mówi, że nie wolno ich wyjawiać na forum publicznym.

Benedykt poświęca karom dość dużo miejsca, ale mówi o nich w duchu ewangelicznym. Gdyby „jakiś brat okazał się krnąbrny, nieposłuszny, zarozumiały, niechętny (...) takiego powinni starsi mnisi zgodnie z nakazem Pana naszego napomnieć raz i drugi na osobności. Potem trzeba go zganić publicznie, a gdyby i to nie pomogło, podlegałyby wyłączeniu ze wspólnego posiłku i modlitwy” (por. 23, 1-4). To trochę jak w małżeństwie „ciche dni”...

...które zwykle są bardzo dla małżonków dotkliwe. Tu widać, jak dużą wartością jest wspólnota, w której się żyje.

Może zaskakiwać taki zakaz: jeśli ktoś został już pozbawiony wspólnego posiłku czy udziału w modlitwie, to „żaden inny z braci nie ma prawa z nim się spotykać ani rozmawiać” (25, 2).

Ale dalej jest zaraz napisane, że opat ma posyłać do niego „starszych i mądrych mnichów, którzy by chwiejnego brata dyskretnie podnosili na duchu, skłaniając do pokornego zadośćuczynienia za popełniony błąd, a jednocześnie pocieszali, by nie popadł ów człowiek w

straszliwy smutek” (2 Kor 2, 7) (27, 2-3). Chodzi o to, żeby, z jednej strony, nie podważać autorytetu opata, by bracia nie podchodzili i nie pocieszali: „Stary, nie przejmuj się, opat ma dziś zły dzień, do jutra mu przejdzie”. A z drugiej - widać autentyczną troskę o człowieka, by go nie skazywać na dojmującą samotność.

Potem jest jeszcze środek, który na szczęście dzisiaj już nie obowiązuje - chłosta, a gdy i ona nie pomogła, opat „ucieknie się wtedy do środka najpotężniejszego i wspólnie z wszystkimi braćmi - będzie modlić się za błądzącego” (28, 4). Wracamy więc do modlitwy - dzisiaj nam brak wiary w jej moc...

Benedykt z całą pewnością był Bożym człowiekiem. My nieudolnie staramy się go naśladować. Za mojego pobytu w Tyńcu nie było takiego wypadku, żeby kogoś usuwać po ślubach wieczystych. Jeśli ktoś odszedł, to sam, z własnej woli. Nie odtrącamy nikogo. Klasztor w trudnych wypadkach proponuje roczny lub dwuletni „urlop” od życia zakonnego.

Statystyki wskazują, że część porzucających kapłaństwo powraca doń w starszym wieku.

Zobaczmy. Na razie w Tyńcu nie było takiego wypadku. Benedykt pozwala powracać do klasztoru trzy razy. Tym, którzy chcą opuścić zakon, mówimy: „Zastanów się, nie pal za sobą mostów. Zobacz, czy po doświadczeniu życia w świecie będziesz tęsknił do klasztoru”. Dzisiaj w praktyce tak się do tego podchodzi. Zanim się kogokolwiek usunie, daje mu się możliwość naprawienia błędów. Chodzi o to, żeby nie zaskakiwać człowieka, musi wiedzieć, co wspólnota ma przeciwko niemu.

W zakonie nikt nie ma prawa pastwić się nad innymi. Jeden drugim nie może poniewierać. Reguła wyraźnie mówi, że opat nie może być tyranem nad chorymi, a chorym można być przecież także duchowo. Człowiek jest drogą Kościoła, jak przypomniał Jan Paweł II. Drogą zakonu też jest człowiek. I dzięki człowieczeństwu Chrystusa powstaje ważna więź. Jeśli Chrystus jest w każdym człowieku, to każdy człowiek jest tak ważny jak Chrystus. „Cokolwiek uczyniliście temu najmniejszemu, mnieście uczynili” (por. Mt 25, 40). I opat powinien pamiętać, że jeśli nawet musi z kimś się zmagać, to reguły tej walki muszą być uczciwe jak na ringu. Kiedy walczę nie fair, to nawet gdy przeciwnikowi nie zrobię krzywdy, mogę być zdyskwalifikowany, bo uderzyłem tam, gdzie nie potrzeba. Jeśli nawet ktoś jest we współzyciu nieznośny i chciałoby się jakoś mu „przyłożyć”, to trzeba pamiętać, iż to sam Pan Jezus może pyta: czy potrafiś teraz ze mną walczyć fair i nie zniszczyć mojej godności?

Reguła może wydawać się dzisiaj dla wielu zbyt stresująca. Na każdym kroku jest powiedziane, co należy robić, czego nie powinno się robić, za co otrzymuje się karę. Jeśli człowiek będzie się poruszał tylko w przestrzeni tych zakazów i nakazów, tak jak to się dzieje z niektórymi wstępującymi do klasztoru, nie wytrzyma. Nie wytrzyma presji, napięcia, stresu. Natomiast jeśli wzniesiemy się na wyższy poziom i uwzględnimy perspektywę miłości, to te wszystkie może niezrozumiałe wymagania stają się wyzwaniem. Czemu się boisz walki? Zależy jakie się sobie stawia cele i czy człowiek rzeczywiście czuje się powołany przez Boga. Szczęśliwym czyni człowieka przekonanie, że jest na swoim miejscu.

Często na początku motywy wstąpienia do zakonu są błahe: podoba mi się ten klasztor albo śpiew gregoriański, jest tam dwu czy trzech wspaniałych mnichów, opat robi niezwykle wrażenie itd. Nierzadko dojrzewa się powoli i ci bardzo mili ludzie, gdy staną się moimi przełożonymi, mogą się okazać nieznośni. Sam na własne oczy to widziałem i tego doświadczałem albo inni doświadczaali tego przeze mnie. Najważniejsze, by czuć się kochanym i by wszystko, cokolwiek się czyni, czynić z miłości. I wtedy powołanie mnisze nie jest trudne. W moim długim życiu zakonnym spotykałem się nieraz ze swoistym paradoksem: w imię posłuszeństwa musiałem sam decydować, co nie zawsze było łatwe, ale pokazało, że posłuszeństwo samo w sobie to nie wszystko. Wyrzekając się własnej woli, mam

dojrzewać duchowo w takich ramach, jakie mi przełożony wskaże. Przełożony zwykle wyżej mierzy ode mnie. Trudności są bodźcem, wyzwaniem.

Przypomnijmy jeszcze jedno mądre zalecenie, nakazujące opatowi podczas jutrzni i niezsporów odmawiać „Ojcze nasz”: „Wcałości i tak, by wszyscy go słyszeli, a to ze względu na ciernie wzajemnych uraz” (13, 12).

Dlatego opat Placyd Galiński już parędziesiąt lat temu powiedział: „Jeszcze raz wieczorem po modlitwach przekazujemy sobie znak pokoju. I niech mi się któryś na drugiego spróbuje gniewać - ja wam pokażę!”. I rzeczywiście, wieczorem zawsze przekazujemy sobie znak pokoju. Nie jesteśmy ideałami. W stallach nie siedzą same święte aniołki. Przez naszą głupotę kolanas „ciernie uraz”. Albo czasem ma się zły dzień i wszystko jest nie tak, jak być powinno. Opat głośno śpiewa dwa razy dziennie i trzeci raz podczas mszy: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. I odpuścić trzeba szczerze. Nie wolno przekazywać fałszywego znaku pokoju. To jest czasem trudne, ale wtedy przypominam sobie wszystko dobre, co dany brat mi uczynił. Nie ma w klasztorze zakonnika, który by niczego dobrego mi kiedyś nie zrobił. Wystarczy sobie przypomnieć. Nawet drobiazg, dobre słowo. I jeśli stoi wówczas przy mnie, nawet kiedy jestem nastroszony, mówię: „Pokój z tobą”.

Strasznie trudno jest być w Tyńcu głupim!



## 6. Praca

„Abba Makary Wielki odwiedził abba Antoniego na jego górze. (...) Przyjął go z całą gościnnością i -posłał na spoczynek, ponieważ on był bardzo strudzony. A pod wieczór abba Antoni namoczył dla siebie włókien palmowych, abba Makary zaś powiedział: „Pozwól, abym i ja sobie namoczył”. On odrzekł: „Dobrze” - więc tamten zrobił dużą wiązkę i namoczył. I zasiedli wieczorem, a rozmawiając o zbawieniu duszy, pletli linę. A lina wysunęła się przez drzwi aż do jaskini; i kiedy błogosławiony Antoni wyszedł rana i zobaczył długość liny abba Makarego, powiedział: „Wielka moc wychodzi z twych rąk”.

Mówiliśmy o modlitwie. Zgodnie z sentencją „ora et labora” kolej na pracę. „Bezczynność jest wrogiem duszy. Dlatego też bracia muszą się zajmować w określonych godzinach pracą fizyczną i również w określonych godzinach czytaniem duchownym” (48, 1). Właściwie mamy tu też: „módl się i czytaj”, co by mi bardzo odpowiadało...

Czytanie jest potraktowane nie tylko jako sposób na dowiedzenie się czegoś. Trzeba przeczytać, przemyśleć, rozważyć i pomodlić się nad takim tekstem. Bo czytanie duchowne, czyli Boże czytanie (lectio di-vina), to nie tylko lektura, ale część modlitwy. Nie chodzi jedynie o to, żeby poznać Pismo Święte, ale żeby dzięki niemu poznać Boga. Czytanie może być wspólne. Ci, którzy czytać nie umieli, mogli się przy okazji rozwijać intelektualnie i duchowo. Ostatecznie chodzi o wprowadzanie w życie tego, co się przyswoiło, poprzez medytację i rozważanie tekstu.

Czy wszyscy mnisi byli uczeni czytania?

Mogli umieć czytać, choć niekoniecznie musieli umieć pisać. „Jeśli pisać brat nie umie, to niech znak postawi” (por. 58, 20) - mówi w innym miejscu Reguły św. Benedykt. Praktyka była taka, że przy każdym opactwie od początku funkcjonowała szkoła klasztorna.

Pytam dlatego, że przeczytałem w Regule: „W dniach Postu każdy otrzyma z biblioteki jedną książkę, którą powinien przeczytać od pierwszej do ostatniej strony w całości” (48, 15). Jeśli każdy miał przeczytać w całości, to każdy musiał umieć czytać.

Ten fragment Reguły zakłada powszechną znajomość czytania. Bibliotekarzom, których czasem oprowadzam po Tyńcu, tłumaczę, że w Regule w ogóle nie ma zalecenia, by klasztor posiadał bibliotekę, gdyż to było dla Benedykta oczywiste. Tak oczywiste, że jest napisane: „każdy otrzyma z biblioteki książkę”. Książek miało być tyle, aby dla każdego starczyło.

To niepozorne zdanie zapowiada potężny potencjał kulturowy przyszłych klasztorów benedyktyńskich, który zdoła przemienić Europę.

I działo się to w VI wieku, kiedy Benedykt myślał jeszcze tylko o organizacji jednego klasztoru. Nie było wtedy rozbudowanej struktury zakonnej, a istnienie biblioteki było rzeczą oczywistą. Pomyślmy, książka była wtedy dobrem luksusowym i rzadkim. Moglibyśmy powiedzieć, że to właściwie szaleństwo traktować wówczas rzecz tak drogą jako niezbędną. A jednak Benedykt był bardzo odważnym wizjonerem i miał genialne intuicje.

To tak jakby dzisiaj zakładać wspólnotę zakonną, wyposażając ją w najnowocześniejszy sprzęt komputerowy, a każdego, nawet najbardziej niewykształconego zakonnika przyuczać do jego obsługi. Ale w Regule od razu jest też mowa o kontroli: specjalnie do tego wyznaczeni starsi mnisi mają w porach czytania duchownego „obchodzić klasztor i patrzeć, czy nie znajdzie się ktoś opieszawy, kto nic nie robi, albo gada, zamiast pracowicie czytać” (por. 48, 17-18).

Trzeba do tego podchodzić w duchu Reguły. Jesteśmy słabi. Przełożony ma prawo skontrolować postępowanie mnicha. Gdy ktoś pracuje solidnie i uczciwie, nie widzi w tym

żadnego problemu. Dotykać to może tylko tych, którzy rzeczywiście się objają i żyją jakby na koszt wspólnoty.

Czy ojcowie nadal są zobowiązani wykonywać pracę fizyczną?

W jakimś wymiarze taka praca obowiązuje każdego mnicha. Klasztor jest podzielony na segmenty sprzątane przez tych, którzy nie mają pilniejszego zajęcia. Do naszych obowiązków należy także mycie naczyń. Mamy gospodarstwo, w którym hodujemy krowy, świnię i kury, a także uprawiamy pole, ogród i zajmujemy się pasieką. Klasztor prowadzi także wydawnictwo. Nie brak więc i pracy intelektualnej, która jest często bardziej wyczerpująca niż fizyczna. Jeden z nas kieruje działalnością powstałej niedawno jednostki gospodarczej. Zatrudniamy także świeckich, tworząc dodatkowe miejsca pracy.

Dobrze jest, jeśli mnich zapozna się po kolei ze wszystkimi zadaniami związanymi z pracą w klasztorze. Wtedy nie ma problemu z ewentualnym zastępowaniem siebie nawzajem i wszystko funkcjonuje harmonijnie bez awarii i marnotrawstwa. Ja jako kapłan nie opiekuję się trzodą, ale jako nowicjusz miałem do czynienia ze wszystkim. Pracowałem i w ogrodzie, i w gospodarstwie. Wszyscy zatem pracują.

„Gdyby zaś warunki miejscowe lub ubóstwo kazały braciom własnoręcznie zbierać plony, niechaj się tym nie martwią, bo właśnie wówczas są prawdziwymi mnichami, jeśli żyją z -pracy rąk swoich, jak ojcowie nasi Apostołowie” (48, 7-8) - pociesza Benedykt.

Jeśli naprawdę nie ma pieniędzy na wynagrodzenie świeckich pracowników, to wtedy pomaga, kto tylko może i kto ma siłę. Gdyby tak trzydziestu mężczyzn przez pół godziny zbierało jabłka, to chyba rychło daliby radę całemu naszemu sadowi. Modlitwę w chórze zakonnym, której mamy około dwóch godzin, też uważamy za pracę dla Kościoła. Poza tą modlitwą obowiązuje więc mnicha sześć godzin pracy, czy to fizycznej, czy intelektualnej. Jeśli ktoś nie poświęca sześciu godzin na pracę, to uważa się, że nie ma prawa do jedzenia chleba. „Kto nie chce pracować, niech też nie je” - mówi św. Paweł.

Czy Ojciec ma jakąś stałą, wyznaczoną pracę?

Mam prawie siedemdziesiąt osiem lat, dlatego nie jestem już obciążony obowiązkami związanymi bezpośrednio z funkcjonowaniem klasztoru. Obecnie moim głównym zajęciem jest praca duszpasterska i wydawnicza. Najwięcej czasu poświęcam na pisanie artykułów, książek, na korespondencję w tej sprawie, poza tym prowadzę wiele rekolekcji i spotkań. Ta praca daje mi dużo satysfakcji i nie traktuję jej jako ciężaru. Fizycznej pracy mam niewiele - czasem pomoc przy myciu naczyń czy w jakiegokolwiek nadzwyczajnej potrzebie, np. na furcie klasztornej. Sprzątanie swojej celi jest na szarym końcu, bo zawsze są pilniejsze rzeczy do zrobienia. Do celi nie przychodzą obcy goście, więc wygląda ona tak, jak u ojca Joachima Badeniego, dominikanina z hrabiowskiego rodu, niezwykle dowcipnej osoby. Ponieważ u dominikanów można przyjmować gości płci męskiej w swoich celach, miał powiedzieć kiedyś do kogoś zaproszonego na kawę, wskazując na bałagan w celi: „Przepraszam, ale służba jeszcze nie zdążyła posprzątać”.

Benedykt jest surowy, ale w Regule znaleźć można także zaskakująco pobłażliwą wypowiedź o leniwym mnichu, który „nie chce albo nie może ani rozmyślać, ani czytać”. Takiemu koniecznie trzeba zlecić „jakąś pracę do wykonania, aby nie był bezczynny” (48, 23).

I dla takich mamy miejsce w klasztorze. Z jednej strony poprzeczkę stawia się bardzo wysoko, z drugiej - jest miejsce także na słabość. Jesteśmy aż ludźmi, ale niekiedy tylko ludźmi. Nie chodzi o to, by od razu wyrzucać kogoś, kto akurat przeżywa kryzys i niczego mu się nie chce. Trzeba dać mu coś do roboty i czekać cierpliwie. Może się powoli przekona. Widać, że miłosierdzia u Benedykta nie brakuje. Nie brakuje mu także wiary w człowieka i cierpliwości. Nie toleruje lenistwa, ale rozumie człowieka.

A inni ojcowie czym się zajmują, oprócz zwykłych klasztornych obowiązków?

Bardzo ważnym dziełem jest duszpasterstwo parafialne i związana z nim katechizacja oraz rozmaite wspólnoty religijne. Parafia, licząca obecnie prawie trzy tysiące wiernych, angażuje na stałe dwóch mnichów, a inni dopomagają w miarę potrzeby.

Według swoich możliwości i umiejętności mnisi prowadzą też rekolekcje, w Polsce i za granicą, biorą udział w zjazdach i sympozjach, zajmują się pracą naukową i dydaktyczną. Na przykład ojciec Tomasz Maria Dąbek jest bibliistą i profesorem zwyczajnym w Papieskiej Akademii Teologicznej, brat Michał Gronowicz doktorem historii i na tejże Akademii prowadzi zajęcia ze studentami. Poza tym w klasztorze jest zakrystianem i ceremoniarzem, a ostatnio dyrektorem Wydawnictwa Tyniec. Nie odkrył w sobie powołania do kapłaństwa i przełożeni tę jego wolę szanują. Ojciec Hieronim Kreis zajmuje się ikebana, czyli wywodzącą się z Japonii sztuką układania kwiatów. Napisał parotomową książkę na temat wyrażania poprzez ikebana świąt roku liturgicznego. Ojciec Święty Jan Paweł II za tę książkę serdecznie podziękował i życzył Bożego błogosławieństwa w tego rodzaju „medytacji biblijnej”, którą autor pragnie dzielić się z innymi. Jak za pomocą ikebany wyrazić niepokalane poczęcie Najświętszej Marii Panny? W jaki sposób ułożyć dekorację kwiatową, aby powiedziała coś na temat Bożego Narodzenia, ofiarowania Pana Jezusa w świątyni czy Wielkanocy? Okazuje się, że jest to możliwe. Ojciec Hieronim prowadzi też warsztaty. Często w kościołach widuje się ołtarze przytłoczone wręcz różnymi bukietami - bez ładu i harmonii - tymczasem ikebana wskazuje, że wystarczy zaledwie kilka elementów dekoracyjnych, aby oddać odpowiedni klimat i przekazać przy okazji jakieś przesłanie. Na przykład kryształowe naczynie, a w nim kwiat - gwiazda betlejemska. Kryształ symbolizuje Niepokalaną Maryję, a gwiazda betlejemska - Jezusa. Ojcu Hieronimowi udało się sztuka przetłumaczenia języka japońskiej ikebany na nasze polskie kwiaty i materiały. Uzyskiwał nawet laury na wystawach sztuki dekoracyjnej.

Jak klasztor przyjmował takie nietypowe zainteresowanie?

Ojciec opat to od razu akceptował, nie bał się, że ikebana przyniesie polskim benedyktynom jakiegoś obcego ducha. Początkowo niektórzy bracia patrzyli na to z przymrużeniem oka. Ale z czasem albo się przekonali, albo przyzwyczaili. Zresztą ikebana to nie jest jedyny sposób zdobienia ołtarzy kwiatami. Jak ma się obiektywne spojrzenie, to trzeba uznać wartość prawdziwej sztuki, nawet jeśli ona osobiście człowiekowi nie trafia do przekonania. Natomiast nie jest wykluczone, że także kicz może zrobić na kimś subiektywnie dobre wrażenie.

A mieszkańcy Tyńca? W końcu przez lata byli przyzwyczajeni do bukietów bez ładu i harmonii...

Początkowo byli trochę zaskoczeni. W Polsce jest tradycja, że przy okazji ślubu oddaje się część kwiatów na przystrojenie kościoła. Wówczas te różne bukiety wkłada się we wszystkie możliwe słoiczki, a nawet puszki po konserwach i przyozdabia nimi ołtarze. Tymczasem ikebana wymaga inteligentnego doboru kwiatów - nie wszystko można naraz wykorzystać. Z czasem się jednak mieszkańcy Tyńca przyzwyczaili. Po warsztatach prowadzonych przez ojca Hieronima wielu układa ikebana w domach. A niektóre siostry zakonne inspirowały się nabytymi wiadomościami przy dekorowaniu kościołów w swoich parafiach.

Bardziej tradycyjną działalnością jest wydawnictwo, ale zdaje się, że nie istnieje ono „od zawsze”?

Już w roku 1946 spotkałem się z wydanymi przez klasztor tyniecki częściami stałymi Mszy świętej po łacinie i po polsku z odpowiednimi objaśnieniami. Później były kolejne wydania Mszalika dla wiernych, a w roku 1979 - Reguła św. Benedykta. Kilka pozycji mówiących o życiu monastycznym wydano staraniem opata Kazimierza Janickiego, ale w głębokim PRL-u nie było prawie żadnych możliwości wydawniczych. Pamiętam, że w 1980 roku spotkał mnie w Rzymie ksiądz Marek Starowieyski, znakomity specjalista od początków

chrześcijaństwa, i bardzo gorąco namawiał, aby benedyktyni zajęli się wydawaniem źródeł monastycyzmu i Ojców Kościoła. To słuszne życzenie mogło się właściwie ziścić dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Powstało w roku 1991 Wydawnictwo Benedyktynów Tyniec, kierowane od początku do roku bieżącego przez ojca Włodzimierza Zatorskiego, z wykształcenia fizyka i teologa, rozwija się pomyślnie. I właśnie cykl „Źródła monastyczne”, w którego ramach ukazały się już czterdzieści trzy tomy, otrzymał wśród innych nagrodę na Targach Książki Katolickiej.

Tyniec przyciągał osobowości nietuzinkowe, ludzi wykształconych...

Początkowo krążyła o Tyńcu taka opinia, że to sama elita. Pytano się nawet niekiedy, czy koniecznie trzeba mieć szlacheckie pochodzenie, aby móc wstąpić do benedyktynów. Rzeczywiście, było kilku hrabiów - Michałowski, Rostworowski, Mycielski, ziemianin Skibniewski, pochodzący z Belgii pierwszy przeor - van Oost. Utarło się, że to zakon intelektualistów. Taką markę benedyktynom wyrobili mnisi zajmujący się nauką na wysokim poziomie, jednak mnich nie musi być koniecznie wysoko wykształcony teologicznie czy biblijnie. Na naukę kładzie się nacisk, kiedy jest konkretnemu mnichowi czy klasztorowi potrzebna, ale najważniejsze jest skupienie się na Bogu w oparciu o szczerze i poważnie sprawowaną liturgię. Poza tym panuje u nas wielka swoboda wewnętrzna. Zmarły niedawno były opat tyniecki, wybitny biblista, ojciec Augustyn Jankowski, wstąpił do zakonu jako diecezjalny ksiądz - doktor po paru fakultetach, ze wspaniałą perspektywą w Kościele. Tłumaczył: „Myślałem o dominikanach, ale zobaczyłem, że tam trzeba będzie nauczać według myśli świętego Tomasza. Tu nikt niczego nie narzucał. Będziesz prowadził badania, jak ci będzie pasowało”. Wielka dyscyplina zewnętrzna przy zagwarantowaniu wewnętrznej swobody - to przyciągało ludzi.

Biblista - to rozumiałe, ale matematyk? Czy za pomocą matematyki też można głosić Ewangelię?

Ojciec Bernard Turowicz już przed wojną był asystentem na Politechnice Lwowskiej, należał do ruchu Odrodzenie - podobnie jak jego rodzony brat Jerzy, redaktor „Tygodnika Powszechnego”, legendarny ksiądz Tadeusz Fedorowicz czy późniejszy Prymas Polski kard. Stefan Wyszyński. To był ruch bardzo prężny - dbano i o formację duchową, i o rozwój intelektu. Ojciec Bernard doktoryzował się z matematyki już jako kleryk benedyktyński. Poznałem go w 1951 roku, gdy po raz pierwszy przyjechałem do Tyńca. Był wtedy prefektem gości. Zawsze otwarty na człowieka, uśmiechnięty, dowcipny. Imponował wielką wiedzą, której zasięg mogłem poznać później, gdy wykładał w nowicjacie historię monastyczną. Przez pewien czas był nawet mistrzem nowicjatu, ale długo tego nie wytrzymał. Żartował: „Jak do mnie puka nowicjusz z jakimś problemem, to we mnie się wszystko przewraca do góry nogami. Myślę zaraz: z czym on teraz do mnie przychodzi? Będę musiał zostawić swoje dowody matematyczne, które są obiektywne i nie sprawiają mi kłopotu. Potrafię je sam rozwiązywać. A tu przychodzi żywy człowiek, za którego jestem odpowiedzialny”. I poprosił o zwolnienie z tej funkcji. Znał znakomicie historię, o matematyce trudno się nam, kompletnym ignorantom, było w ogóle wypowiadać. Wciąż coś pisał, zwykle na jakichś karteczkach czy na kopertach - był bardzo oszczędny. Nominację profesorską otrzymał z rąk ówczesnego przewodniczącego Rady Państwa, Henryka Jabłońskiego. Na tej nominacji mu szczególnie nie zależało, ale jego uczniowie i słuchacze, którzy go cenili i szanowali za wiedzę i charakter, zebrali potrzebne dokumenty i skłonili do jej przyjęcia. Wykładał na Uniwersytecie Jagiellońskim, a potem w Akademii Górniczo-Hutniczej. W końcu został członkiem krakowskiego oddziału Polskiej Akademii Nauk. W siedzibie Akademii miał swój pokój. Krążyła anegdota o jego wizytówce na drzwiach: „dr A.B. Turowicz” (doktor Andrzej Bernard Turowicz), czyli „drab” Turowicz. Kiedy przeszedł na emeryturę, poważnie się rozchorował. Lekarz dokładnie go zbadał i nic nie stwierdził. Była to typowa choroba emerycka, z której zresztą szybko się dźwignął i wytrwał w klasztorze wierny Regule i...

matematyce do osiemdziesiątego piątego roku życia. Jako typowy profesor, był też roztargniony. Kiedyś przy odmawianiu wieczornej modlitwy liturgicznej, Kompletu, prosiło się najpierw po łacinie przełożonego o błogosławieństwo: lube, domine, benedicere - „Racz, ojcze, pobłogosławić”. I potem: „Bracia, bądźcie trzeźwi, czuwajcie, bo przeciwnik wasz diabeł jako lew ryczący krąży, szukając, kogo by pożarł, i temu się sprzeciwiajcie mocni w wierze”. Następnie zakończenie: Tu autem Domine miserere nobis - „Ty zaś, Panie, zmiłuj się nad nami”. I na samym końcu: Deo gratias - „Bogu niech będą dzięki”, oraz rachunek sumienia. Brat, który rozpoczynał modlitwę, wychodził na środek pogrążonego w mroku chóru zakonnego i na pamięć recytował albo śpiewał ten tekst. Kiedyś ojciec Bernard z wielkim przejęciem zamiast „Racz, ojcze, pobłogosławić”, zaczyna recytować: Tu autem Domine miserere nobis, czyli końcówkę. W chórze zaniepokojenie - co się dzieje? Później nam opowiadał: „Przyszło mi do głowy, że na pewno zacząłem za nisko. To trzeba wyżej”. Więc drugi raz powtarza, już wyżej. A tu w stallach zaczyna być naprawdę wesoło. Wszyscy są poruszeni. Zorientował się, że nadal jest coś nie tak, i przyszła mu do głowy kolejna myśl: „Dzisiaj na pewno jest święto i trzeba zaśpiewać”. Więc trzeci raz rozpoczął to samo, tyle że śpiewając. Kiedy to później opowiadał, to przecierał okulary, bo aż się spłakał ze śmiechu.

Potrafił się też irytować i nie przebierać w słowach. „A to kretyn”, mówił. I kiedyś tak przy nowicjuszach na kogoś pomstował. Byłem wtedy mistrzem nowicjatu i w pewnym momencie nie mogłem już wytrzymać. Zwróciłem mu uwagę. A on na to: „Ale głupi jestem! Stary, a głupi”. Żadnej agresji. Oczywiście, człowiek ma prawo okazać gniew czy irytację, ale wtedy, kiedy nie robi nikomu szkody. Rodzice też czasem mogą się pokłócić, nie powinni tego jednak robić przy dzieciach. Postawę ojca Bernarda, któremu zawsze można było śmiało zwrócić uwagę, do dzisiaj pamiętam.

Jest czymś jednak niezwykłym, że przełożeni pozwolili ojcu Bernardowi angażować się w działalność zupełnie nie związaną z religią...

Reguła pozwala zajmować się mnichom różnymi „rzemiosłami”, byle za zgodą opata i bez chęłpienia się swoimi umiejętnościami. Zajęcie nie związane bezpośrednio z religią, wykonywane przez człowieka wierzącego, może i powinno posiadać walor religijny. Tak jest do dziś w Tyńcu. Choćby ojciec Karol Meissner, z wykształcenia lekarz, mógł w ramach obowiązków zakonnych pomagać potrzebującym według swoich kompetencji. Władze komunistyczne zabraniały mu praktyki medycznej, a w dowodzie osobistym w rubryce „zawód” wpisano „mnich”. Wtedy odpowiedział, że mnich to jest jego powołanie, a z zawodu jest lekarzem. I walczył o ten wpis. Bezskutecznie. Wobec tego podczas pewnych wyborów napisał nawet pismo do Komitetu Wyborczego w Tyńcu, że jest dyskryminowany, i oznajmił, iż nie będzie brał udziału w wyborach. Ale i tak był wzywany do nagłych przypadków, leczył też w obrębie klasztoru. Śmiało się, że często „włóczy się” po nocy. Kiedyś wymyśliłem fraszkę o ojcu Karolu:

Jednej mi rozstrzygać rzeczy nie każ: mnich to czy też lekarz.

Ciężki chyba ma żywot, bo taka ciągła dyspozycyjność wobec ludzi nie pozwala mu praktykować w spokoju życia mniszego. Rozumny zaś przełożony nie chce przez zbytne rygory powiększać napięcia, które może się rodzić na styku powołania lekarskiego i klasztorowego.

Ale przecież za taką nielegalną praktykę groziły kary!

Tłumaczył tak: „Jeśli jestem wezwany nagle, bo nie ma nikogo innego, to moim obowiązkiem, jako lekarza, jest udzielić pomocy. Nie praktykuję, ale gdybym odmówił przy nagłych wypadkach, sprzeniewierzyłbym się powołaniu lekarza”. Odnośnie władze pytały ludzi, czy płacą ojcu Karolowi za wizytę. Odpowiadali, że dają ofiary na klasztor. „A ile?” „No tak, wrzucamy do puszek pięćdziesiąt groszy...” W każdym razie ojciec Karol przez lata starał się o zezwolenie na legalną praktykę albo na pracę w szpitalu - również bezskutecznie.

Jak to się stało, że ojciec Meissner zaangażował się w sprawy małżeństwa? Jako mnich napisał wiele artykułów i kilka książek na temat płciowości i małżeńskiego pożycia. To zdaje się jego pasja?

Zależy mu bardzo na dobru rodziny i uszanowaniu planu Bożego w odniesieniu do związku mężczyzny z kobietą. Myślę, że gdyby go zmobilizowano, aby zrobił doktorat, to byłby teraz wziętym profesorem. Ma fenomenalną pamięć, zdolność syntezy i jasność wykładu oraz niepospolity dowcip. Znany jest też z temperamentu - to chyba po babce, Hiszpance. Dzięki temu potrafi się niekiedy zagalopować, ale gdy natrafi na rozumne argumenty, uznaje wartość racji przeciwnika. Pamiętam jego spór z dominikaninem ojcem Maciejem Ziębą na temat liberalizmu, który ojciec Karol potępiał tak bezwzględnie, jak tylko się dało. Ojciec Maciej z właściwym sobie spokojem łagodnie tłumaczył, że ojciec Karol, chowany w czasach komunizmu, jest mimo woli tym komunizmem nieco skażony i trudno mu przyjąć pewne tezy dla innych oczywiste. Ostatecznie dwaj dyskutanci żyją ze sobą w bardzo wielkiej zgodzie i szanują się wzajemnie. Jego temperament i energia, która go rozpiera, sprawiają, że trudno jest mu niekiedy zmieścić się w klasztorze. Swego czasu myślał nawet o wybudowaniu pustelni czy założeniu nowego klasztoru. Ostatecznie osiadł w naszym klasztorze w Lubiniu koło Kościana i tam do dzisiaj pisze, przyjmuje wielu ludzi potrzebujących jego porady i udziela się w rozmaitych kazaniach i konferencjach. Nadal także, w miarę potrzeby, zajmuje się chorymi. Jeden czy dwa razy widziałem, że kogoś potraktował emocjonalnie. I zaraz potrafił się wycofać, przeprosić, a nawet w tej intencji odprawić Mszę świętą. Byłem tym zbudowany. I u benedyktynów tak ma być. Cudownie, że człowiek jest w środowisku, gdzie są normalni ludzie, którzy potrafią się o coś wściec, a jednocześnie nie rezygnują z miłości. Wciąż uczę się w klasztorze takiego normalnego człowieczeństwa, które nie boi się być sobą, nawet jak zbłądzi, potrafi przyznać się do tego i w porę wycofać. Jak igła kompasu, która po rozmaitych perturbacjach przyjmuje zawsze kierunek - północ. Mnisi są jak wino - im starsze, tym lepsze.

Dla porządku wspomnijmy jeszcze o bolesnym dla Tyńca fakcie - jeden z cenionych ojców, już nieżyjący, okazał się gorliwym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa.

Tak. To dla nas było zaskoczenie. Ale nie staramy się oceniać. Sami nie jesteśmy żadnymi bohaterami. Nie byłem przez bezpieczeństwo naciskany ani szantażowany, więc nie wiem, jak to jest. Nie potrafię powiedzieć, jakbym się zachował, na przykład jako człowiek świecki, gdyby mi zagrozili, że zrobią krzywdę żonie czy moim dzieciom. Dlatego nie oceniam.

Ale z tego, co już wiadomo, przez owego zakonnika cierpieli inni ludzie, na przykład ojciec Piotr Rostworowski trafił na kilka miesięcy do więzienia.

Oni obaj są dzisiaj już po tamtej stronie i rozliczają się ze sobą wobec miłosierdzia Bożego. Stopień szkodliwości tych działań będzie można określić dopiero po dokładnym zbadaniu wszystkich materiałów i okoliczności. Okazuje się, że jak się patrzy dzisiaj na tamte czasy, to poza niewątpliwymi faktami - ktoś kogoś zadenuncjował, wsadził do więzienia, w czymś przeszkodził, jakaś kanalia świecka czy duchowna dostała się na wyższe stanowisko - ostatecznie Kościół zwyciężył. Klimat był straszny, ludzie łamani, ale struktury Kościoła na tyle miały się nieźle, że zdecydowanej większości hierarchii i duchowieństwa to wystarczyło, by mimo wszystko robić swoje - głosić Ewangelię z ambon i na katechizacji, wychowywać nowe pokolenia młodzieży kapłańskiej i zakonnej, budować kościoły i nawet - za sprawą Ducha Świętego - doprowadzić do tego, by ten jakże niewygodny Wojtyła został papieżem. I w dodatku nawet „nie dał się zabić”. A realizm socjalistyczny „ze Związkiem Radzieckim na czele” rozpadł się i już w takiej formie nie wróci. I po co była ta cała machina szpiegowsko-donosicielska? Dziękując Bogu za dobro, które było udziałem Kościoła w minionym okresie, musimy uważać, by nie roztrwonić zdobytego kapitału dzisiaj, gdy zło jest - być może - bardziej przemyślnie i... skuteczne.

## 7. Ubóstwo

„[Abba Euprepisz] pomagał złodziejom, kiedy rabowali jego rzeczy; a kiedy już wynieśli wszystko, co miał w celi, i zostawili tylko laskę, abba Euprepisz zauważył ją i zmartwił się. Wziął ją i pobiegł, żeby im ją oddać. Ponieważ zaś nie chcieli wziąć (bali się bowiem, żeby ich coś złego nie spotkało), znalazł kogoś idącego tą samą drogą i prosił, żeby ją im przekazał”.

Benedykt bezwzględnie zaleca wykorzenie wśród mnichów pragnienie posiadania rzeczy materialnych. Kto nie będzie zwalczał w sobie tej „szkaradnej wady”, tego należy raz i drugi upomnieć, a następnie ukarać (por. 33, 6-8). To ostre słowa. Czy nie ma w tym przesadnej drobiazgowości? Prawo do własności jest przecież jednym z fundamentalnych ludzkich praw.

Mamy tu do czynienia z pewnym paradoksem. Kościół broni prawa własności, ale mnichowi się tego prawa odmawia, nie wolno mu mieć niczego na własność. Próbuje rozwiązać ten paradoks, mając na uwadze, że człowiek do klasztoru wstępuje dobrowolnie i dobrowolnie składa ślub ubóstwa. Dobrowolnie wyrzekam się wszystkiego poza tym, co otrzymam od przełożonych. Opat bowiem ma dać wszystko potrzebne mi do mniszego życia. Jeśli chce, żeby w klasztorze panował porządek, to musi wychodzić naprzeciw potrzebom zarówno wspólnoty, jak i poszczególnych braci. Ci zaś używają tego, co otrzymali od opata albo za jego pozwoleniem, zgodnie z intencją przełożonych. Chodzi więc o wykorzenie chciwości, a nawet o takie odruchowe nieprzywiązywanie się do rzeczy. Tego rodzaju postawa jest wyzwaniem rzuconym światu, dla którego posiadanie, i to za wszelką cenę, nawet z krzywdą drugiego, stanowi zwykle wartość najwyższą. Człowiek pozbawiony własności jest bardzo narażony na taką wewnętrzną manipulację, żeby na wszelki wypadek zgromadzić na własną rękę potrzebne dla siebie rzeczy. A przecież nie potrzeba gromadzić pięciu ubrań w szafie i wielu temu podobnych przedmiotów.

Popatrzmy na dawnych zapaśników. Walczyli nago i jeszcze namaszczeni byli oliwą, żeby ich trudno było uchwycić. Mnich ze swoim ubóstwem jest jak taki nagi zapaśnik. Atletę stający do walki odrzuca wszystko, co mu przeszkadza, krępuje jego ruchy. Najważniejsze jest, żeby być jak najbardziej wolnym. Często nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo człowiek jest skrępowany tym, co ma. To widać w klasztorze, ale nie tylko, przy przeprowadzce. Tyle się nagromadziło niepotrzebnych rzeczy i właściwie nie wiadomo, co z tym zrobić. Czy to czasem nie zwykle marnotrawstwo? Klasztor ma mieć wszystko, co jest do życia potrzebne. Powinno się dbać o pewne minimum dostatku, bo ubóstwo nie znaczy dziadostwo. „Mnich ma być „chlujny” - jak to mówił Belg, ojciec Karol van Oost, pierwszy przełożony tyński - a nie niechlujny”.

Czy Ojciec nie posiada nawet osobistych pamiątek?

Owszem, ale z upływem czasu ceni się je o tyle, o ile mogą stanowić pożyteczne dla historii klasztoru archiwalia. Gdy powoli zbliża się czas odejścia, wiele rzeczy, z którymi było się związanym emocjonalnie, raczej zagraca celę. Regulują to zresztą zwyczaje klasztoru.

A jeśli ktoś daje Ojcu na pamiątkę jakiś album ze zdjęciami, można go zatrzymać?

Zwykle tak. Tylko potem jest dla klasztoru kłopot, gdy ja już szczęśliwie odejdę i zostają po mnie różne szpargały. Takie rzeczy trafiają do archiwum klasztorowego; powinny być dokładnie opisane, bo dla historii klasztoru nawet drobiazgi mogą być istotne. Mnich z natury rzeczy jest zanurzony w tradycji i związany z minionymi pokoleniami. Dlatego cenne są przedmioty, które po człowieku zostają. Jakby cenniejsze niż za jego życia.

Zapytałem o pamiątki, bo Reguła jest tu bardzo surowa: „Wżadnych okolicznościach bez pozwolenia opata nie wolno mnichowi ani od rodziców, ani od żadnego innego człowieka, ani od innego mnicha otrzymywać listów, poświęconych pamiątek lub choćby najmniejszych podarków” (54, 1). Czyli akurat to się zmieniło.

Dzisiaj opat nie musi udzielać pozwolenia za każdym razem. Odnośnie do pewnych kategorii rzeczy udziela pozwolenia ogólnego. Obok Reguły funkcjonują także statuty klasztorne, konstytucje i deklaracje, które to regulują. Przedtem kontrolowane były listy - zarówno wysyłane, jak i otrzymywane. Dzisiaj zrezygnowano z tego w duchu uszanowania intymności człowieka. Chociaż właściwie wyrzekam się przecież „prawa rozporządzania samodzielnie nawet własnym ciałem”. Jeżeli ktoś miałby pisać list, którego opat nie mógłby przeczytać, to nie byłby w porządku jako zakonnik. Poza oczywiście kierownictwem duchowym, które objęte jest tajemnicą. Dawniej zresztą pisało się na kopercie: „sprawy sumienia”, i wtedy przełożony tego nie kontrolował, zakładając uczciwość autora listu.

Kontrola korespondencji miała pewien sens. Pamiętam, że jeden z nowicjuszy w liście do rodziców ostro ich napomniął, że są za mało gorliwi w wyznawaniu i praktykowaniu wiary. Powyznaczał im nawet zadania duchowe. Zwróciłem mu uwagę, że takim językiem nie można pisać do rodziców. Gdyby taki list dotarł do adresatów, przyniósłby najgorszą opinię i o nim, i o klasztorze. Dzisiaj tylko ten, komu opat powierzył opiekę nad korespondencją przychodzącą i wychodzącą, może zwrócić uwagę, jeśli zauważy coś podejrzanego. Wszyscy wiedzą, że nie ma ścisłej kontroli, ale przełożony wciąż ma prawo zajrzeć do mojego listu, a ja nie powinienem mieć o to pretensji. W klasztorze nie ma prywatnych spraw. Kiedyś jako przełożony otworzyłem jeden z listów. Okazało się, że był to list miłosny do jednego z zakonników, który potem zresztą odszedł z zakonu. Też nie miał do mnie o to pretensji.

Czasem jednak pisze się w listach o sprawach, które osoba trzecia może nie zrozumieć, albo - co gorsza - zrozumieć opacznie. Czy w zakonie nie ma w takim razie odruchu pisania listów prywatnych „pod przełożonego”?

Ale skoro ciągle udaje, to nie wytrzyma i pójdzie z zakonu. Jeśli jestem swobodny, wiem, że to, co mówiłem czy pisałem, może być opisane i czytane przez innych, tak jak podczas lustracji. Podobnie w klasztorze: jeżeli wiem, że we wspólnocie nie mam problemu z nieposłuszeństwem czy z czystością, albo z bałaganem w celi, to nie mam problemu z kontrolą. Niczego się nie lękam. W klasztorze z miłości do Pana Boga rezygnuję z praw i zgadzam się na to, że moja suwerenność osobista jest ograniczona. W małżeństwie zresztą też. Właściwie wszędzie. Ale jeśli ktoś jest kochający i kochany, to wcale tego nie czuje. Ubi amator non laboratur et si labor amatorum - gdzie się kocha, tam się nie pracuje, a jak się pracuje, to wtedy kocha się pracę.

Mnich zatem wiąże się ze wspólnotą, w pewnym sensie, jak mąż z żoną.

Jeśli mąż pisze list miłosny do innej kobiety, nie może żonie powiedzieć, że to jego prywatna sprawa. Porównanie zakonu do rodziny jest właściwe. Ze wspólnoty się nie żartuje. Każdy przychodzący, nawet trochę dziwak, przyjmowany jest z wielką nadzieją i zaufaniem. Staramy się zobaczyć w nim wszystko to, co dobre. Od razu widzi się dla niego miejsce w klasztorze, widzi się, do czego może się przydać, dzięki temu, że ma taki czy inny talent. I kiedy nawet słusznie odchodzi, albo trzeba go usunąć, to każde takie odejście przeżywane jest z bardzo wielkim smutkiem. Nawet ten, który na pewno musiał odejść, zostawia po sobie puste miejsce - ranę w sercu. To bolesne, bo zerwana więź kosztuje, a z drugiej strony - pocieszające, że jednak przychodzący człowiek nie jest pionkiem w układance. Od razu jest przyjmowany do żywego organizmu wspólnoty jako swój. I ci, co zostają, też tak czują: gdy ja przychodzę, to też jestem kochany.

W Regule jest takie zdanie: „Gdyby u kogoś odkryto jakąś rzecz, na którą nie miał pozwolenia opata, czego nie otrzymał on od opata, winny podlega bardzo ciężkiej karze.



Występną skłonność do posiadania czegoś na własność trzeba wykorzenić do reszty” (por. 55, 17-18).

Dzisiaj, powiem szczerze, to się trochę rozmydliło, ale sam święty Benedykt uważał, że już za jego czasów chytrość i konsumpcjonizm były tak wielkie, iż zakon powinien dawać świadectwo...

Może nie tyle chodziło o konsumpcjonizm, co po prostu o uczciwość?

Uczciwość jako wyzwanie rzucone chciwości, która panowała i panuje na świecie. Z jednej strony uczciwość - nie kłam, a z drugiej dawanie świadectwa przejrzystości. Jeśli opat pozwoli - proszę bardzo, możesz zatrzymać. Nie chodzi o ubóstwo samo w sobie jako największą wartość. Tak o ubóstwie początkowo myślał św. Franciszek z Asyżu. To się ostatecznie też do końca nie sprawdziło. Radykalnie pojmowane ubóstwo jest w praktyce możliwe jedynie w małej grupie ludzi. Dzisiaj natomiast najwyżej w jakichś eksperymentalnych, elitarnych grupach. Zamiast tego swoje rzeczy poddaję pod kontrolę przełożonego. Mam kajecik, w którym wszystko, co otrzymuję, i wszystko, co wydaję, jest zanotowane. I to pokazuję. W tej chwili za wydatki odpowiedzialny jest szafarz albo skarbnik. W mniejszych wspólnotach tę funkcję może pełnić przełożony. Jeśli biorę pieniądze od skarbnika, to mniejsze kwoty mogę wydać bez pozwolenia, ale wszystko zapisuję. Natomiast na większe wydatki musi przełożony udzielić pozwolenia; z tym że skarbnik nie sprawdza pozwoleń, on nie jest od tego. Zakłada dobrą wolę mnicha, który przychodzi po pieniądze. Każdy klasztor ma te sprawy uregulowane po swojemu.

Rozumiem, że jeśli Ojciec otrzymuje na przykład honoraria autorskie, to nie zatrzymuje dla siebie, tylko oddaje wspólnocie?

Oddaje się wszystko, a dopiero potem jest dystrybucja. I to się w skali zakonu sprawdza. Każdy ma dostawać tyle, ile potrzeba. Jeśli jest godziwe zabezpieczenie i to, co mi do pracy jest niezbędne, wtedy nie będę niepotrzebnie chomikował różnych rzeczy. Rozmawiam z opatem o tym, co mi potrzeba, i on decyduje: przyda mi się czy nie. Jeśli otrzymuję na przykład od kogoś paczkę, przedstawiam jej zawartość szafarzowi albo opatowi. On pyta, czy to mi jest potrzebne. Mogę powiedzieć, że tak, i nawet o to prosiłem. Wtedy zwykle pozwala zatrzymać. Jeśli już mam taką rzecz, na przykład sweter na zimę, to oczywiście oddaję. Mam dwa kapelusze, nie potrzeba mi trzeciego. Kiedyś szedłem w kapeluszu, podszedł do mnie jakiś pan i zapytał: „Czy ksiądz kardynał Macharski?”

„Jeśli zdarzy się, że ktoś zwróci się do szafarza z nierozsądnym żądaniem, niechaj nie sprawia proszącemu przykrości, traktując go pogardliwie, lecz rozsądnie i z pokorą odmówi spełnienia niestosownej prośby. (...) A kiedy proszącemu nie ma co dać, niech go obdarzy w odpowiedzi życzliwym słowem” (31, 7,13). To ładne! „Szafarz”, czyli zarządca?

Albo ekonom, w niektórych klasztorach funkcjonuje też nazwa „prokurator”, pochodząca od *procurator* - troszczyć się o coś.

U benedyktynów opat jest raczej duchowym ojcem niż administratorem. Natomiast szafarz nie musi sięgać aż do duszy, ale przez jego ręce przechodzą sprawy, które dotyczą nas na co dzień. I dlatego ma być „mądry, dojrzały w cnocie i trzeźwy, nie pyszałek, nie gwałtownik, nie opryskliwy, nie ślamazara, nie rozrzutnik, ale taki, który pełen bojaźni Bożej mógłby być jakby ojcem dla wspólnoty” (por. 31, 1-2). W imieniu opata szafarz jest „jakby ojcem” dla wspólnoty - *sicut pater*. Choć to stanowisko administracyjne, nie może być sprawowane bezdusznie, urzędniczo. Jesteśmy przecież wspólnotą, a nie przedsiębiorstwem, choć i w zarządzaniu przedsiębiorstwem wspomniane cechy szafarza bardzo się przydają...

Powiedzmy jeszcze i o tym, że mnisi, choć nie powinni być przywiązani do rzeczy materialnych, mają je szanować: „wszelkie przedmioty i wszystko, co stanowi własność klasztoru, szafarz ma traktować tak, jak gdyby to były naczynia święte z ołtarza” (31, W).

Zatem wszystko w klasztorze jest namaszczone, naturalnie bez sztucznej pompatyczności. Każdą czynność wykonuje się w Bożej obecności. Dawniej podczas na przykład wypiekania hostii odmawiane były psalmy - odpowiednie przy mieleniu mąki, przenoszeniu tej mąki, przy zacynie. W klasztorze wszystko jest sakralne. Pewne zwyczaje z czasem wyszły z użycia, ale wciąż pamiętamy o tym, że „Pańska jest ziemia i wszystko, co ją napelnia”.

## 8. Gościnność

„Kiedyś św. Epifaniusz posłał do abba Hilariona, prosząc go: „Przyjdź i zobaczymy się jeszcze, zanim odejdziemy z ciała”. A. gdy on przyszedł, cieszyli się obaj. I kiedy jedli, podano drób, a biskup nałożył abba Hilarionowi, starzec jednak powiedział: „Wybacz mi, ale odkąd przyjąłem habit, nie jadłem nic zabitego”. A biskup na to: „Ja odkąd habit przyjąłem, nie pozwoliłem nikomu zasnąć z żalem do mnie w sercu, ani sam nie zasnąłem mając żal do kogoś”. Starzec mu odrzekł: „Wybacz mi: twój sposób życia lepszy jest od mojego””.

Benedyktyńska gościnność stała się przysłowiowa. Czytelnik Reguły może się przekonać, skąd to się wzięło. Benedykt nakazuje: „Wszystkich przychodzących do klasztoru gości należy przyjmować jak Chrystusa” (53, 1). Zatem benedyktyński klasztor nigdy nie był niedostępną, niechętną światu, groźną warownią rodem z „Imienia róży”?

Oczywiście, że w owych burzliwych czasach klasztor budowano w taki sposób, by mogły pełnić też funkcje obronne przed bandami i najeźdźcami. Wystarczy przypomnieć klasztor Monte Cassino. Zresztą spełniały różne funkcje - często były gospodami na szlakach z rzadka zamieszkanymi. Ale nigdy klasztor benedyktyński nie był „twierdzą” przeciwko światu. Zawsze istniały dla świata - tak jak ewangeliczna sól dla potrawy czy zaczyn dla ciasta.

O tym jeszcze będziemy mieli okazję porozmawiać. Na razie chciałbym zapytać o zagadkowe zdanie. Powitanie gości miało być bardzo uroczyste.

Przybyłych powinien witać opat wraz ze wspólnotą. Ale zanim wymieniono by pocałunek pokoju, wspólnota wpiery zobowiązana była się pomodlić, „a to ze względu na złudzenia pochodzące od diabła” (53, 5). Czy to wynikało z takiej, dzisiaj byśmy powiedzieli, nieco zabobonnej wiary?

Nie, nie zabobonnej. To był raczej realizm, trzeźwość. Rozmaici ludzie w rozmaitych celach wtedy do klasztoru przychodzili - to była taka próba, przyjrzenie się, kto to. Dzisiaj u nieznanym sprawdza się dokument tożsamości. Jeszcze do niedawna - w czasach PRL-u - ze względu na walkę z Kościołem trzeba było dobrze uważać, kto przychodzi na furkę. Poza tym, byli i są tacy, co kradną. Parę rzeczy już nam z klasztoru zginęło. Kiedyś wpuszczono kogoś wzbudzającego duże zaufanie. Pozwolono mu odpocząć w wolnej celi. Okazał się złodziejem znanym już w innych klasztorach. Z jednej strony musimy wystrzegać się zbytniej nieufności i sztywności wobec gości, a z drugiej - naiwności i głupoty. Trzeba znaleźć tę drogę pośrednią, w duchu Reguły. Ale mogę sobie wyobrazić, że Pan Jezus przebiera się za bandytę, by wystawić nas na próbę. Pokaż wtedy, jak można nawet bandytę „załatwić”, szanując w nim człowieka i zarazem nie dając się nabić w butelkę!

Benedykt nalega, by „z największą troskliwością” przyjmować zwłaszcza ubogich i pielgrzymów. Dodaje jakby mimochodem, że „ludziom bogatym sama ich pozycja zapewnia zawsze szacunek” (por. 53,15). Jak to wygląda dzisiaj?

W tym drugim zdaniu pobrzmiewa taki aż do brotliwy sarkazm: bogatemu zawsze się ukłonimy, przecież zostawi większą ofiarę. Tu są dwa wymiary funkcjonowania klasztoru, którym należy roztropnie kierować, by nie popadać w skrajności. Są osoby, które zdają sobie sprawę z tego, że dom rekolekcyjny funkcjonuje na zasadzie hotelu. Mamy, jak już mówiłem, względnie przyzwoite warunki, dobre wyżywienie i cenę niewygórowaną, jak na Kraków. Ofiarujemy możliwość uczestnictwa w tematycznych spotkaniach grupowych, a także pobytu indywidualnego. Ludzie przyjeżdżający na rekolekcje czy w celu wyciszenia chcą jednocześnie wspomóc klasztor. Stałe źródła dochodu są nam potrzebne. Na szczęście mnisi starają się nie mieć wygórowanych potrzeb osobistych. Jednak w dzisiejszych czasach, żeby

klasztor mógł spełniać swoje zadania, niezbędna jest równowaga finansowa, by mieć tyle, ile potrzeba, i dzielić się z innymi. Ale działalność gospodarcza nie może wyczerpywać pojęcia gościnności klasztoru. Chodzi o to, żeby nie stał się on w całości zarabiającym na siebie hotelem. Przychodzą do nas także zwykli pielgrzymi, którzy chcą pobyc w klasztorze i duchowo odpocząć, ale nie stać ich nawet na te nasze niewygórowane ceny. Wtedy ojcowie od gości powinni się wykazać intuicją podobną do tej, jaką mają na przykład celnicy. Powinni wyczuć prawdziwe potrzeby pielgrzyma. Ci, którzy rzeczywiście zasługują na to, są przyjmowani bez zbytniego „prześwietlania”. Trzeba jednak uważać na oszustów i rozmaitego rodzaju „pieczeniary”. Staramy się nie wypuścić bez posiłku człowieka głodnego, ale jednocześnie spotykamy się z takimi, którzy arogancko domagają się pieniędzy, a ewentualne otrzymane produkty żywnościowe potrafią wyrzucić do kosza na śmieci. Potrzebna jest więc wielka roztropność. Nie jest tynieckim charyzmatem prowadzenie przytułku z darmową jadalnią. (Klasztor prowadził taką działalność podczas wojny!) Nie stać nas na to, żebyśmy byli bez umiaru hojni, bo przez lekkomyślność czy naiwność klasztor może zbankrutować i nikt nie będzie miał z niego pożytku. W rozwiązywaniu praktycznych problemów decyzje podejmuje opat, który według Reguły na pierwszym miejscu ma mieć na względzie dobro duchowe - przede wszystkim zakonników. Troska o rzeczy materialne nie może przysłaniać wartości duchowych, jeśli klasztor ma promieniować tym, co ma najlepszego: duchowością. I w takim wypadku nie ma co tłumaczyć się ubóstwem klasztoru. A Reguła przypomina tu słowa Jezusa: „Starajcie się naprzód o królestwo Boga i o Jego sprawiedliwość, a to wszystko będzie wam dodane” (Mt 6, 33).

W Regule jest też powiedziane: „Dla opata i dla gości musi być oddzielna kuchnia, aby zjawiający się zniemacka goście, jakich nigdy nie brak w klasztorze, nie przeszkadzali braciom” (53, 16). Kiedyś pojechałem do dominikanów do Szczecina przez pomyłkę dzień wcześniej (coś tam było nie dogadane). Okazało się, że nie było żadnego problemu z niespodziewanym gościem. Choć przyjechałem w porze między posiłkami, szybko znalazło się i bardzo smaczne jedzenie, i cela do spania. Gościnność ujmująca - byłem pod wrażeniem!

Sprawa jest prosta: dominikanie zawsze gotują odrobinę więcej, niż potrzeba. Zwykle jedzenie zostaje też dla spóźnialskich, którzy nie zdążyli na „pierwszy stół”. W zakonie kaznodziejskim nie ma kar za spóźnienie się na wspólny posiłek...

U nas też nie ma kary i także funkcjonuje „drugi stół”. Prócz tego zawsze jakieś jedzenie jest w lodówce. Cieszę się, że dominikanie mają cudowny charyzmat gościnności. Spotkałem się też z czymś podobnym u sióstr franciszkanek w Laskach. Tam gościom w ogóle nie wyznacza się ceny za pobyt. Stoi po prostu koszyczek na dobrowolne ofiary za nocleg i posiłek. I na razie nie widać, by Laskom groziło bankructwo...

No dobrze, a gdy taki pielgrzym zechce pozostać w klasztorze i przywdziać habit, co wtedy? Reguła mówi: „Gdy zgłasza się ktoś nowy do klasztoru, nie należy go łatwo przyjmować” (58, 1). Pamiętam anegdotę o ojcu Karolu Meissnerze. Jako przeor klasztoru w Lubiniu wracał z miasta samochodem i po drodze zobaczył idącego młodzieńca. Zatrzymał się i zapytał, dokąd ów młodzieniec idzie. Okazało się, że idzie właśnie do klasztoru zostać benedyktyinem. „Jeżeli tak - odpowiedział wówczas ojciec Karol - to idź piechotą”. I odjechał.

Tak, to może być prawdą, nie tylko dlatego, że ojciec Karol znany jest z dowcipu, ale także dlatego, iż to jest z ducha bardzo benedyktyńskie. Zupełnie odwrotna postawa niż w rozmaitych wspólnotach zakonnych, w których raczej zachęca się do wstąpienia i wprost łapie kandydatów. Ja też to przeżyłem. Przybyłem do Tyńca 16 lipca 1958 roku około godziny dziewiętnastej z dwoma małymi walizczkami i na przywitanie usłyszałem: „Cielę głupie”. To był spotkany przed klasztorem ojciec Placyd, z którym potem bardzo się zaprzyjaźniłem. Powiedział wówczas: „Do klasztoru? Ksiądz? W ogóle to nic nie mam przeciw, ale do klasztoru? Nie!”. Taki jest duch Reguły.

Co znajduje swój wyraz zwłaszcza w zaleceniu: „ Tak więc, gdy ktoś przyjdzie i będzie kołatać wytrwale, gdy okaże się po czterech lub pięciu dniach, że potrafi znosić cierpliwie wyrządzane mu przykrości i utrudnienie wstąpienia, a prośbę swoją ciągle powtarza, wówczas należy mu pozwolić na wstąpienie” (58, 3-4).

Teraz wystarczy szok, jaki wywołuje różnica między życiem w świecie a życiem w zakonie. Ktoś przyjeżdża, siada z nami przy stole, a tu spokój, nikt się nie spieszy, ktoś czyta... Zupełne średniowiecze! A potrawy są na ogół smaczne, teraz jednak już w bardzo wielu domach jada się lepiej niż w klasztorze. To cieszy. Klasztor nie musi być miejscem, do którego się idzie, aby mieć lepiej, jak to nieraz dawniej bywało...

Czy zatem nadal bada się gorliwość nowicjuszy „w znoszeniu upokorzeń”? Benedykt wyraźnie zabrania koloryzować życie zakonne. Nowicjuszom „należy z góry przedstawić wszystko, co jest ciężkie i trudne na drodze do Boga” (58, 8). Zasady są jasne od początku: zero reklamy!

Tak, ten aspekt pokutny życia klasztornego jest widoczny i od samego początku istotny. Nie tylko radosne miłowanie Pana Boga, ale też udział w męce Chrystusa. Nigdy nie mam tego tracić z oczu. Tu przychodzę też po to, żeby się solidaryzować z Chrystusem cierpiącym za grzechy świata. I wtedy inaczej będę patrzył na wszystkie trudy i ostrości zakonnego życia. Jeśli natomiast ten aspekt mi umknie, to każda trudna sytuacja, w której się znajdę, będzie dla mnie wielkim bólem i niesprawiedliwością. Przyjmuję dobrowolnie Regułę, pod którą mam wojować. Chrystus zdaje się mówić: „Jeśli nie czujesz się na siłach, to odejdz, ale jeśli godzisz się na nią, to potem się nie wycofuj”. Najgorzej, jak o tym pamięta przełożony, a nie pamięta podwładny. Bo wtedy przełożony doświadcza kandydata na wszelkie sposoby, czasem ponad rozsądną miarę (Benedykt przestrzega, żeby to nie było za uciążliwe: uważaj, byś nie przesadził!). Jeśli podwładny pamięta o tym, że musi znosić upokorzenia, natomiast przełożony zdaje sobie sprawę, że nie ma być tyranem zdrowych, ale lekarzem chorych, to wtedy relacje są wspaniałe. Podwładny będzie absolutnie dyspozycyjny i zniesie konieczne upokorzenia, trudności i niezrozumienie, jeśli przełożony ze wszystkich sił będzie się starał wymagać, lecz jednocześnie uszanuje w nim człowieka i nie przekroczy granicy ludzkiej wytrzymałości.

Z Reguły wynika, że przyjmowano do klasztoru na stałe, już bez możliwości opuszczenia wspólnoty, po roku. Czy to nie za szybko?

Obecnie od wstąpienia do ślubów wieczystych mija pięć lat - łącznie z nowicjatem: pół roku postulatu, potem rok nowicjatu kanonicznego, pół roku życia po nowicjacie przed ślubami czasowymi i następnie trzy lata do ślubów wieczystych. Ten czas można przedłużyć, jeśli ktoś się jeszcze waha. Prosi się wtedy o odłożenie ślubów. Ostatecznie kapituła, czyli wszyscy mnisi, którzy złożyli śluby wieczyste, głosuje, czy przyjąć brata na stałe do wspólnoty. Władza opata w tym przypadku jest ograniczona. Nie może on wbrew jej woli przyjąć do zakonu na stałe. Tak stanowią nasze statuty wypracowane w ciągu wieków. Na podstawie dłuższego doświadczenia życia zakonnego stwierdzono, że pewne decyzje opat może podjąć tylko za zgodą kapituły. Reguła mówi: „Nic nie czyn bez rady, a po uczynku nie będziesz żałował” (por. 3, 13). Władza opata nie jest więc absolutna.

W Regule jest mowa o składaniu „przrzeczenia stałości miejsca, zachowania obyczajów monastycznych i posłuszeństwa” (58, 17). Dzisiaj w różnych zakonach ślubuje się trzy rady ewangeliczne: posłuszeństwo, ubóstwo i czystość. U benedyktynów jest inaczej?

W ślubowaniu „stałości miejsca” chodzi o związenie się z danym klasztorom. Nie jestem „benedyktynem w ogóle”, ale mnichem tynieckim i bez ważnego powodu nie mogę być przeniesiony do innego opactwa. Ślubuje się także stałość wytrwania pod Regułą, a to w praktyce oznacza trwanie w czystości, ubóstwie i posłuszeństwie. W innych zakonach natomiast jednostką macierzystą jest prowincja, a przełożony ma prawo kierować braci do różnych zadań w coraz to innych klasztorach.

„Majątku trzeba się wyrzec, rozdać ubogim albo prawnym aktem darowizny zapisać klasztorowi” (por. 58, 24).

Ewentualnie przekazać rodzinie.

A jak rozumieć zalecenie o ofiarowaniu przez rodziców swoich synów? „jeśli kto z możliwych ofiaruje swego syna Bogu w klasztorze, a chłopiec jest małoletni, rodzice sami napiszą prośbę” (59, 1).

Trudno mi powiedzieć. Rodzice nie mogą oczywiście składać ślubów za dziecko, tylko prośbę, żeby je przyjęto. To byli tak zwani oblaci, ofiarowani klasztorowi, którzy potem mogli, jeśli zechcieli, opuścić klasztor i powrócić do świata. Jakby taki staż - oddanie na wychowanie. Ci chłopcy uczyli się w przyklasztornych szkołach - zdobywali ogładę i wykształcenie. Dzisiaj słowo „oblat” nabrało innego sensu. Jest to osoba świecka, która ofiaruje się Bogu, aby żyć w świecie według swego stanu w duchu Reguły św. Benedykta. Wiąże się w tym celu specjalnymi przyrzeczeniami z konkretnym klasztorom.

Jednym z takich oblatów w opactwie Monte Cassino był św. Tomasz z Akwinu - późniejszy wielki dominikanin. Ale powróćmy do Reguły. Niełatwo było się dostać do klasztoru także kapłanom: „Kiedy ktoś ze stanu kapłańskiego prosi o przyjęcie do klasztoru, nie należy zbyt szybko się zgadzać” (60, 1) - to przypadek Ojca...

Zanim wstąpiłem, przyjeżdżałem do Tyńca przez siedem lat. Pierwszy raz byłem w 1951 roku i jeszcze nie miałem zamiaru wstąpić, ale już za drugim razem, w wakacje 1952 roku, rozmawiałem na ten temat z ojcem Wojciechem Szlenzakiem. Ojciec Wojciech także przed wstąpieniem był kapłanem w diecezji sandomierskiej, zachęcał mnie więc, żebym przerwał seminarium i prosił o zgodę na wstąpienie. „Jak jest powołanie, to nie trzeba czekać” - mówił. Inni mnisi, chyba bardziej roztropni, uważali, że nie warto przerywać seminarium. Pod koniec seminarium zachorowałem na gruźlicę płuc. Surowe życie zakonne, jako perspektywa na przyszłość, stawało się ryzykowne. Pamiętam, że pewien znajomy pocieszał mnie, że skoro on przetrwał więzienie gestapo, to i ja przetrwam w klasztorze. Ze względu na zły stan zdrowia przez dwa lata przebywałem na rekonwalescencji w Pewli Małej koło Żywca, mieszkając w Domu Rekolekcyjnym Archidiecezji Krakowskiej, gdzie obok wielu ciekawych ludzi byli też często członkowie redakcji „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”. Wreszcie w połowie lipca 1958 roku otrzymałem pozwolenie biskupa i zgodę Tyńca na wstąpienie do klasztoru. Opactwo wtedy przypominało ruderę nie z tej ziemi. Kościół dawno nie odnawiany, odpadające tynki, naokoło gruzy. Kiedy moja mamusia przyjechała odwiedzić mnie po raz pierwszy, była przerażona. „Mój syn - jak to matka - w takim klasztorze!?” Mnisi mieszkali początkowo w dzisiejszej opatówce. Dopiero potem przeprowadzono się do odbudowanego powoli rogu południowo-wschodniego, następnie wschodnie skrzydło dociągnięto do kościoła i na końcu w surowym stanie wykonano skrzydło południowe. Natomiast zachodniego nie ma co odbudowywać. Tylko fragment muru został po dużym budynku, tzw. starostwie, zniszczonym przez działa Suworowa w roku 1772.

23 sierpnia 1958 roku zostałem obłóczony, a 25 października rozpocząłem nowicjat. Ponieważ byłem kapłanem, przysługiwał mi tytuł „Wielebnego Brata”. Rano odprawiałem Mszę świętą, a wyjątkowo dwa czy trzy razy w czasie nowicjatu mogłem pomagać podczas spowiedzi wielkopostnej, ponadto otrzymałem jako nowicjusz pozwolenie na spowiadanie za każdym razem, kiedy o to mnie proszono, a nie było innego księdza. Siedem dawnych moich penitentek miało prawo wyspowiadać się u mnie raz na kwartał. Nie czułem upokorzenia, że jako kapłan muszę chodzić w połatanym habicie, myć gary czy sprzątać ubikacje. To normalne zarówno w domu, jak w klasztorze, że trzeba spełniać wszystkie potrzebne posługi.

Po dwóch latach nowicjatu składało się śluby czasowe, ale już w drugim roku można było podjąć jakąś pracę, której wymiary sięgały poza nowicjackie obowiązki. Ojciec Piotr Rostworowski, mistrz nowicjatu, powiedział mi wtedy: „Bracie Leonie, czas skończyć z próżnowaniem. Będiesz uczył dzieci”. Tak więc już po roku od wstąpienia podjąłem

obowiązki duszpasterskie. Tak jak jest napisane w Regule, by rzemieślnik w zakonie zajmował się swoim rzemiosłem. Moim „rzemiosłem” było kapłaństwo. Więc otrzymałem to, do czego już byłem przygotowany.

To mimo wszystko zastanawiające podejście - zdawać by się mogło, że wykształcony kapłan to dla klasztoru cenny nabytek. Tymczasem takiemu rzuca się kłody pod nogi.

Zamysł Benedykta rozjaśnia chyba ten fragment: „Wyświęcony zaś niech się wystrzeżę wyniosłości i pychy. Niech się nie ośmiela robić czegokolwiek ponad to, co mu zleci opat. Powinien wiedzieć, że od tej chwili musi się tym bardziej podporządkowywać karności zakonnej (...). Gdy bowiem ośmieli się postępować inaczej, traktowany będzie nie jako kapłan, lecz jako buntownik” (62, 2-8).

Zasadniczo zakon benedyktyński był zakonem nie kleryckim - mnisi nie przyjmowali święceń kapłańskich. Jeśli opat chciał, żeby wyświęcono kapłana albo diakona, miał wybrać „takiego, który byłby godny” (por. 62,1). Z biegiem czasu w miarę klerykalizacji życia mniszego utarło się, że śluby uroczyste mógł złożyć tylko mnich, który miał przyjąć kapłaństwo. Jak już mówiliśmy - bracia bez święceń, zwani konwersami, składali tylko śluby wieczyste, jakby o jeden stopień niżej, i nie byli mnichami w pełnym tego słowa znaczeniu, choć łączyły ich ścisłe więzy ze wspólnotą klasztorną. Po soborze wrócono do dawnej praktyki. Wszyscy - i bracia, i kapłani - składają jednakowe śluby, a bracia mają w klasztorze pełnię praw, poza tymi, które wypływają z władzy święceń. Często pełnią ważne funkcje. W Lubiniu na przykład brat jest przeorem administratorem klasztoru niezależnego.

Ilu jest teraz w Tyńcu ojców, a ilu braci?

Liczba ta jest płynna. Często trzeba posyłać współbraci do pomocy w innych klasztorach. I tak jeden jest komisarzem apostolskim klasztoru kamedułów na Bielanach, inny podprzeorem w Lubiniu, jeszcze inny służy pomocą duchową w klasztorze słowackim w Bacurowie, czy siostron benedyktynek w Krzeszowie. Na miejscu w Tyńcu jest praktycznie osiemnastu kapłanów i razem z nowicjuszami osiemnastu braci, z których kilku przygotowuje się do przyjęcia święceń kapłańskich. Jak zwykle, kilku młodzieńców odwiedza nas i prowadzi korespondencję celem rozeznania swojej drogi życiowej. Modlimy się, by Bóg wskazał im nasze opactwo jako miejsce realizacji powołania.

## 9. Post

„Powiedział także abba Daniel: „O ile ciało tyje, o tyle dusza chudnie; a o ile ciało więdnie, o tyle dusza rośnie” „-

„Trzeba przede wszystkim unikać braku umiaru, aby nigdy żaden mnich się nie przejadał. Nic bowiem nie jest tak sprzeczne z życiem chrześcijańskim jak niepowściągliwość” (39, 7-8) - pisze Benedykt. Dzisiaj nie zwracamy aż tak dużej uwagi na jedzenie. Chyba że ktoś się odchudza. Czy coś z tej surowości dawnego mniszego postu zostało we współczesnym życiu zakonnym?

Święty Benedykt włącza taką praktyczną rzecz jak posiłek w perspektywę ogólną. Przestrzega w ogóle przed niepowściągliwością. Brak umiaru w każdym wymiarze naszego życia jest sprzeczny z życiem chrześcijańskim. Pisząc Regułę, Benedykt miał na uwadze po prostu życie chrześcijańskie. Dawniej zdobywanie pożywienia lub środków na nie wymagało więcej pracy w pocie czoła. Dzisiaj zdobywanie jedzenia nie musi się łączyć z aż tak wielkim trudem. Produkcja żywności jest na ogół ułatwiona. A gdy się ma trochę pieniędzy, wszystko sprowadza się do tego, by się udać do sklepu - a czasem to nawet dostarczą do domu - kupić, przynieść i przygotować. Jednak wiemy, że i dzisiaj w Polsce są rejony, gdzie ludzie cierpią na niedożywienie. W skali zaś światowej, w wielu dawnych koloniach, jedzenie jest jedyną troską, bo setki milionów ludzi poza tym, co zjedzą, nie mają dosłownie nic. Miliony umierają z głodu. Musimy i to brać pod uwagę, jako motyw, dla którego przejadanie się mnicha, a jeszcze przy tym grymaszenie, jest, mówiąc delikatnie, wysoce niestosowne.

Benedykt zakazuje jeść mięso zwierząt czworonożnych. Z jakiego powodu ?

Ciekawe, że gdy kamedułow, którzy w ogóle nie jedzą mięsa, próbowano kiedyś, niby ze względów humanitarnych, złagodzić post, do papieża udało się trzech zakonników z petycją o zachowanie dawnego zwyczaju. Jeden podobno miał dziewięćdziesiąt sześć lat, drugi osiemdziesiąt dziewięć, trzeci dziewięćdziesiąt dwa; wszyscy trzej czerstwi, uśmiechnięci, pogodni i przez lata na diecie bezmięsnej. Zostawiono więc ich w spokoju.

W Tyńcu według oceny lekarza niektórzy mnisi mają dietę bezmięsną, pozostali jedzą mięso zasadniczo trzy razy w tygodniu. Poza tym spożywamy dużo jarzyn i owoców. Wymóg Reguły nie dotyczył mięsa ptasiego i ryb. Ojciec Klimuszko wyznawał zasadę: po pięćdziesiątce mniej mięsa, po sześćdziesiątce - wcale. I takie podejście jest ponoć bardzo zdrowe. Dieta oparta na białku roślinnym, rybach i odrobinie białego mięsa zupełnie wystarcza do normalnego funkcjonowania. Wmawiają nam niekiedy religijni wegetarianie, nawet niekoniecznie katolicy, że przecież Bóg powiedział: „Nie będziesz zabijał” (Wj 20,13). Takie tworzenie ideologii świadczy o nieznamości całego objawienia, bo już po potopie Noe złożył Bogu ofiarę ze zwierząt (Rdz 8, 20n), a Bóg pozwolił na spożywanie mięsa, byle nie z krwią (Rdz 9, 4). Cały kult Starego Przymierza opierał się w dużej mierze na ofiarach ze zwierząt. Księgi święte podają dokładnie, jak należy je zabijać i składać na ofiarę. W Nowym Testamencie zaś Bóg ukazał św. Piotrowi we śnie „czworonożne zwierzęta domowe i dzikie, płazy i ptaki podniebne” i nakazał: „Zabijaj, Piotrze, i jedz!”. Gdy Piotr się wzbraniał, że nie weźmie do ust nieczystego jedzenia, usłyszał: „Nie nazywaj nieczystym tego, co Bóg oczyścił” (Dz 11, 5-10). Używanie w tej dziedzinie argumentów biblijnych jest nadużyciem.

Dawniej dieta wymagała więcej mięsa, gdyż ludzie musieli prowadzić bardziej aktywny tryb życia, potrzebowali więcej energii...

Specjaliści od koni mogą tu mieć rozmaite zastrzeżenia, ale trudno się powstrzymać od stwierdzenia, że koń je trawę i trawopodobne oraz pije czystą wodę, a trudno mu przecież



zarzucić brak energii i siły. Wszyscy dawni asceci nie jedli mięsa i zwykle dożywali późnej starości. I niektórzy z nich zajmowali się też ciężką pracą fizyczną. Dzielę się swoim doświadczeniem. Dwanaście lat nie jadłem mięsa i okazało się, że wcale nie czułem się słabszy. Poza zimną wodą i czasem kawą zbożową, nie piłem żadnych napojów, także zup. Żadnych słodczy. Taką miałem zdrowotną dietę. Te dwanaście lat oczyściło mi organizm i zapewne przedłużyło życie. Dzisiaj do śmierci jest mi już bliżej niż dalej, pozwalam więc sobie na co nieco. Jeśli jednak post - na przykład dwa razy w tygodniu o chlebie i wodzie - miałby mi szkodzić i uniemożliwiać normalne życie, to znaczy, że nie jest dla mnie. Mogę wtedy pościć od czegoś innego, choćby od głupiego gadania. Na to zwracają uwagę także objawienia w Medjugorje. Post jest po to, żeby czuć się wolnym, a nie udręczonym. Poza tym stanowi on jeszcze jeden element ubóstwa.

Reguła wspomina o picciu wina i ten fragment jest bardzo interesujący...

Dawni asceci nie pili wina i sycery (napój podobny do wina, jak kwas chlebowy). Święty Benedykt w 40. rozdziale Reguły określa miarę wina dla mnichów, napominając, by nie dochodziło do pijaństwa. Wino zresztą spożywano zawsze rozcieńczone wodą. Działało wtedy dezynfekująco i miało wpływ na trawienie.

Właśnie: „Gdyby warunki miejscowe, praca albo skwar letni kazały pić więcej, niech decyduje o tym przełożony, zwracając wszakże uwagę, by nie dochodziło nigdy do przesytu lub zgoła pijaństwa. Czytamy wprawdzie, że picie wina w ogóle mnichom nie przystoi, ale skoro w naszych czasach nie można o tym mnichów przekonać, zgódźmy się przynajmniej na to, że należy pić mało” (40, 5-6) - o ten fragment mi chodziło.

Tu znowu przebija realizm Reguły. Dzisiaj mówią, że szklaneczka czerwonego wina spożywana regularnie wspomaga serce. Ale trzeba uważać, żeby „nie dochodziło nigdy do przesytu lub zgoła pijaństwa”. Dalej w Regule czytamy: „Jeśli zaś ktoś z łaski Pana może się bez wina obejść, niech wie, że otrzyma szczególną nagrodę” (40,4). Benedykt uważa, że całkowita wstrzeźliwość to specjalny dar Boży. Jest tu pewna analogia do celibatu.

W okresie Wielkiego Postu rygor ma być większy. Mówiąc o tym, Benedykt jakby z żalem, ale realistycznie, konstatuje: „Dobrze by było wprawdzie, by mnich w każdym czasie żył tak, jak należy żyć w Wielkim Poście, lecz tylko nieliczni mają taki stopień cnoty” (49, 1). Czy to znaczy, że ideałem chrześcijanina ma być asceta?

Odprowadziłem kiedyś w klasztorze lubińskim zakonne rekolekcje. Był to, jak zwykle, czas milczenia i ograniczenia działalności zewnętrznej. Gospodyni, która nam wówczas gotowała, obserwując nas, powiedziała: „O, tak powinno zawsze wyglądać wasze życie”. W Regule jest powiedziane, że jeśli mnisi wybiorą na opata człowieka niegodnego, okoliczni chrześcijanie mogą się temu sprzeciwić. Już wtedy wiadano, że i ludzie świeccy mają wyczucie, na czym polega życie zakonne. Ma ono być takie, żeby coś w nim fascynowało. Milczą, nie rozmawiają, więcej się modlą, a będąc dla Boga, są życzliwi względem ludzi, są dla ludzi... Pierwszy biograf Benedykta, papież Grzegorz Wielki, opisuje, jak to mnisi z pewnego klasztoru prosili świętego Benedykta, by został ich przełożonym. Benedykt wzbierał się, ale w końcu go przymusili. Po pewnym czasie, gdy zobaczyli, w jakiej surowości żyje i czego od nich wymaga, postanowili się go pozbyć. Święty Benedykt odkrył, że chcą go otruć. I wówczas po prostu sam odszedł. Nie obciążał ich ekskomuniką, nie wydał sądowi świeckiemu, nie zwymyślał. Nikogo nie chciał do niczego zmuszać.

Jako benedyktyni wciąż poszukujemy istoty benedyktynizmu. Wiele rzeczy z czasem straciło na znaczeniu. Ale wciąż mamy świadomość, że najbardziej istotny jest duch Reguły. Opat ma obowiązek systematycznie wyklądać Regułę. Takie konferencje odbywają się raz w tygodniu. Oprócz tego co jakiś czas spotykamy się i zastanawiamy, jak ma dzisiaj wyglądać życie mnicha, jak w praktyce realizować wskazania Reguły; co zachować, co zmienić, co jest już anachroniczne, a czego się trzymać.

Wróćmy do Wielkiego Postu. Każdy ma sobie w tym czasie wybrać rodzaj dodatkowego umartwienia, ale zawsze za zgodą opata. „To bowiem, co dzieje się bez zgody ojca duchownego, zostanie poczytane za zuchwalstwo i zarozumiałość, nie za zasługę” (49, 9). Wciąż nie moja wola niech się stanie, tylko - opata...

Decydują na przykład względy zdrowotne. Gdy ktoś chce zostać wegetarianinem, opat musi na to pozwolić. Wspominaliśmy już także o obowiązku lektury duchowej. Właśnie w Wielkim Poście wybieram jako lekturę jakąś książkę, a opat ten wybór zatwierdza. Dawniej było tak, że to bibliotekarz wybierał lekturę wielkopostną w porozumieniu z opatem, i to też miało swój walor. Człowiek z ciekawością zastanawiał się, co dostanie. Zgłaszamy opatowi na piśmie także umartwienia, które chcemy podjąć.

Zdarzają się prośby o zezwolenie na noszenie włosienicy?

Tego nie słyszałem.

A biczowanie?

W swoim czasie biczowanie w Wielkim Poście było normalną praktyką. W piątki zdejmowało się koszulę i jak dzwonek zadzwonił na Miserere, człowiek okładał się po plecach. Każdy miał taki bicz ze sznurków z zawiązanymi węzełkami - tzw. dyscyplinę. Jeśli się tę praktykę pokutną traktowało serio, to nie dawała ona powodu do jakiegoś niezdrowego, dewocyjnego samozadowolenia. Zaprzestano jej po soborze. Ale wówczas traktowałem to jako rzecz naturalną. Wiedziałem, że w klasztorze musi być jakaś surowość. Często jest tak, że to właśnie surowość w klasztorze pociąga przychodzących. Czasem słyszymy głos rozczarowanych: „Myślałem, że tu będzie większa asceza”. A potem, jak już się przyzwyczają, to z kolei słychać narzekanie, gdy troszeczkę przykręci się śruby, nie tylko w Wielkim Poście.

O ile się zorientowałem, podczas posiłków obowiązuje zwykle milczenie, zawsze czytane są fragmenty Pisma Świętego, Reguły i zdaje się jakaś pobożna lektura. Czy tak?

Śniadanie jest od wpół do ósmej do ósmej piętnaście. Nigdy nie było wspólne. Trzeba przyjść w tym czasie. Zasadniczo mnisi dawniej jedli raz dziennie, czasem dwa razy. Poranny lekki posiłek (frustulum matutinum) i później obiad koło południa. O kolacji nie było mowy. Obiad staramy się wszyscy spożywać wspólnie, jako jeden z wyrazów więzi rodzinnej, chyba że ktoś ma jakieś usprawiedliwione pilne zajęcie. Podczas obiadu lektor czyta najpierw fragment Pisma Świętego, potem jakąś wartościową, ciekawą książkę, której reszta z pożytkiem w milczeniu słucha. Lekturę wybiera bibliotekarz, czasem ojciec opat coś ciekawego zasugeruje. Chodzi o to, by kontakt z Panem Bogiem mógł się w milczeniu zamienić w dobry kontakt z ludźmi. „Nie unikniesz grzechu w gadulstwie” (por. Prz 10, 19) - przestrzega święty Benedykt. Bez milczenia utracilibyśmy jakiś ważny element życia monastycznego. W Wielkim Poście obowiązywały przepisy, żeby to, co się dostało na obiad, podzielić na dwie części, i drugą jadło się później. Dzisiaj już normalnie jemy trzy posiłki dziennie. Do tego podwieczorek: po Godzinie czytań można wpaść do refektarza i tam jest herbata, kompot, a czasem coś słodkiego. I zasadniczo nie je się między posiłkami. Z tym że ze względu na rozmaite słabości zdrowotne czasem lekarz zaleci jeść mniej, ale częściej. Wtedy można mieć coś w celi - owoc czy ciastko. Kolacja jest od wpół do siódmej do siódmej. W niedzielę - o wpół do ósmej, i wtedy łączymy ją z rekreacją. Rekreację mamy trzy razy w tygodniu - to wydaje się trochę za mało, aby pobyć ze sobą, porozmawiać. Zwłaszcza jeśli posiłki zwykle spożywamy w milczeniu. Dzisiejszy człowiek reaguje zdziwieniem: jak to, posiłek w milczeniu? Przecież posiłek jest dla wspólnoty! U mnie w domu przy stole się nie mówiło. Więc dla mnie sprawa milczenia przy posiłku zawsze była oczywista. A jednak czujemy, że za mało mamy okazji do wymiany myśli. Stąd pomysł niedzielnych kolacyj-rekreacji. Parę razy w roku także obiady są „mówione” - w największe święta: Boże Narodzenie i Wielkanoc, oraz w dniu ślubów czy święceń kapłańskich, kiedy do klasztoru

przyjeżdżają goście. Chcemy jednak na co dzień zachować milczenie. To paradoks, ale milczenie też jest środkiem komunikacji.

Co zwykle mnisi tynieccy jedzą?

Zasadniczo mięso jest, jak mówiłem, we wtorki, czwartki i niedziele. Na śniadanie czy kolację mamy wtedy wędlinę jako dodatek. Ale oprócz tego dużo serów, warzyw, jarzyn, jogurty. Całkowicie bezmięsną dietę trzeba uzgodnić zarówno z przełożonym, jak i z siostrami, które nam gotują, żeby nie robić zbyt dużego zamieszania w kuchni. Siostry są przyzwyczajone, że na przykład chorzy wymagają zwykle innego sposobu żywienia. Zawsze znajdzie się pięciu czy sześciu, którzy czegoś nie jedzą. Są tacy, którzy nie znoszą ryb. Ktoś inny je z dań mięsnych tylko ryby, a z kolei nie może jeść jajek. Na obiad jest zupa, drugie danie i kompot albo herbata. W niedzielę i święta jakieś ciasto na deser. Czasem dostajemy ciasto подарowane przez kogoś albo pozostawione z wesela. To wtedy się nie marnuje. Na śniadanie i kolację - mleko, rozmaite jogurty, powidła, masło, margaryna. Na stołach są rozstawione też dzbanki z czystą źródlaną wodą. Ma ona duże powodzenie. Na miejscu robimy sery. Już nie pamiętam, kto pierwszy wpadł na pomysł, by trochę poeksperymentować z ziołami i przyprawami, aby te sery miały specyficzny smak i były naprawdę dobre. Wiem, że smakosze docenili je i obecnie w naszych kulinarnych propozycjach, sprzedawanych przez jednostkę gospodarczą, są także sery tynieckie. Kilkunastu mnichów umie i lubi gotować. To oni zajmują się kuchnią, gdy nasze siostry mają swój dzień skupienia albo wyjeżdżają na urlop. Ale prawdę powiedziawszy, siostry gotują bardziej finezyjnie. Do mnichów należy natomiast obsługa stołu i mycie naczyń. Gdy byłem młodszy, też w tym pomagałem.

A nie myślicie o zmywarkach?

Mamy zmywarki, tylko że przecież zawsze ktoś musi naczynie posegregować i włożyć do maszyny. Potem też trzeba wyciągnąć to wszystko i poukładać. Po obiedzie, do godziny piętnastej, o której obecnie odprawiamy Godzinę czytań, można odpoczywać. Sjesta nie obowiązuje, jak na południu Europy, gdzie bez niej człowiek jest właściwie nie do życia. Młodszy mogą korzystać z tej możliwości za pozwoleniem, a starsi według potrzeby. Nawet lekarze zwracają uwagę, że sjesta jest wskazana, ale niezbyt długa - najwyżej do pół godziny. Bo dłużej to już jest leniuchowanie. Chyba że jest się chorym albo ma się zaległości w spaniu. Ale normalny rytm dobowy to siedem i pół godziny snu w nocy i pół godziny drzemki w ciągu dnia. To zwykle wystarcza. Z czasem, jak się człowiek starzeje, to snu potrzeba coraz mniej. I stąd się biorą takie „nocne marki”, choć ja na razie wciąż jeszcze potrzebuję dużo snu. Pewnie słuszne jest powiedzenie: „Po obiedzie poleż chwilę, po kolacji przeleć milkę”. Czas na napisanie listów, pocerowanie czegoś czy drobne naprawy trzeba sobie wygospodarować między obowiązkowymi zajęciami. Po Godzinie czytań dwa razy w tygodniu mamy próbę śpiewu. Ponieważ nasze oficjum jest w dużej mierze śpiewane, takie stałe ćwiczenie jest konieczne. Śpiew prowadzi ojciec opat, z wykształcenia muzyk i pedagog. Im się lepiej umie śpiewać, tym łatwiej jest się modlić. Kiedy dopiero podczas Mszy świętej zaczynam myśleć, jak coś tam powinienem zaśpiewać, to sama modlitwa schodzi wtedy na dalszy plan. A jeśli mam to przećwiczone, nic mnie nie rozprasza, można powiedzieć, że modlitwa płynie wraz z dobrze opanowaną melodią. Śpiew gregoriański, ze względu na swoją specyfikę, jakby w sposób naturalny pomaga się modlić.

Gdy ojcowie podczas sjesty ucinają sobie drzemkę, czy wywieszacie wówczas na kłamec krawat, jak to jest w zwyczaju w innych zakonach?

Przy drzwiach celi mamy tabliczkę z wypisanymi różnymi możliwościami. Do tego przyczepiony jest na sznureczku drewniany wskaźnik. Na mojej tabliczce są dwadzieścia cztery możliwości: biblioteka, cmentarz, furta, kapitułarz, kaplica, klasztor, kościół, Kraków, nieobecny, ogród, u opata, u przeora, u podprzeora, opatówka, plebania, Podgórk, rozmównica, spacer, spoczynek, siostry felicjanki, siostry oblatki, Tyniec, wydawnictwo, zaraz wracam. Ojciec opat wywiesza też na tablicy wyjazdy braci na każdy tydzień.

Wpisywana jest tam także informacja o przyjeżdżających do klasztoru gościach oraz intencje modlitwy konwentu. Modlimy się i za gości, i za braci, cokolwiek robią i gdziekolwiek są. Poza śpiewem, we wtorki i środy, jest jeszcze konferencja przełożonego, w każdy piątek. Do tego dochodzą spotkania wspólnoty, kapituły i senioratu, czyli rady opata, złożonej z sześciu mnichów.

Czy możecie korzystać z telewizora i oglądać na przykład wieczorne wiadomości?

Telewizor stoi w jakimś bocznym pomieszczeniu i rzadko jest używany. W latach sześćdziesiątych telewizja była swego rodzaju sensacją - wszyscy patrzyli z ciekawością, ale szybko liczba „oglądaczy” zaczęła topnieć. Wtedy wiadomości nadawane były na modłę socjalistyczno-ludową. Kiedyś poszedłem zobaczyć, co dzieje się w sali telewizyjnej. Siedziało dwu starszych braci, a w telewizorze spiker tłumaczył zasady działania socjalistycznego rolnictwa. Oni, nie zważając na niego, pogryzając słone paluszki, wymieniali uwagi na temat życia w klasztorze. Taki duch klasztoru - mamy tak niewiele czasu na rozmawianie ze sobą, że nie chcemy go tracić na coś, co rozprasza. Dlatego już dawno zdecydowaliśmy, by telewizor usunąć z sali, w której się gromadzimy na rekreację. Czasem ktoś coś ciekawego nagrywa: pielgrzymkę papieską, Anioł Pański z Watykanu, jakiś ważny mecz czy ciekawy film - na przykład Imię róży. Wiem, że bracia go później oglądali, żeby mieć mniej więcej pojęcie, o co ludzie będą pytać. Ja czytałem jedynie książkę Umberta Eco.

Pod tym względem różnimy się bardzo od ludzi żyjących w świecie. Wielu pyta: a widziałeś to, a czy oglądałeś tamto? Nie, nie widziałem, nie oglądam. Prawdę mówiąc, mam więcej czasu na występowanie w telewizji niż na oglądanie. Prowadząc dawniej regularne programy w telewizji, każdego miesiąca miałem zarezerwowane mniej więcej trzy dni, by się temu poświęcić: wyjazd, przygotowanie, nagranie itd. Gdybym miał tyle czasu na oglądanie! A tu przecież sterta listów nie odpisanych - jakże mógłbym ze spokojnym sumieniem coś rozrywkowego oglądać? Zresztą dzisiaj o wiele łatwiej jest zajrzeć do Internetu i sprawdzić najnowsze wiadomości.

Ale to najlepsza droga, by popaść w pracoholizm!

Oczywiście, że dla higieny psychicznej trzeba od czasu do czasu poluzować cięciwę. Większy pożytek jednak wtedy przynosi na przykład wyjazd na wycieczkę. Mamy drewniany domek koło Szczawnicy, który ktoś nam ofiarował. Pełni rolę takiej pustelni. Tam można pojechać, побыć sobie samemu.

Poza tym tak jak w rodzinie: ciągle jest coś do zrobienia. Gdy ktoś nie ma własnej pilnej pracy, stara się pomagać innym. Pamiętam, że kiedyś brat Bartłomiej ciężko się rozchorował. Ubrał się wtedy w najładniejszy habit, położył na łóżku i złożył ręce na piersi. Pyta go ojciec opiekun, to się wtedy nazywało instruktor braci, co się stało? „Ano, tak sobie pomyślałem, że jakbym umarł, to już bracia by mieli ze mną mniej kłopotu”. Taki skromny! Żyje, dzięki Bogu, do dzisiaj.

A czy ojcowie mogą sobie zrobić w każdej chwili kawę?

W każdej chwili - po co? Poranna zwykle wystarczy. Pytanie, czy jest mi rzeczywiście potrzebna, bo intensywnie pracuję intelektualnie, a tu jest akurat niskie ciśnienie atmosferyczne, czy tylko dlatego, że mi smakuje? Zauważyłem, iż od pewnego czasu, czy piję kawę, czy nie piję, czuję się zawsze tak samo. To chyba znak, że czas przestać.

O niektóre codzienne obowiązki świeccy sami muszą zadbać, na przykład o pranie. A ojcowie?

Nam piorą siostry. W odpowiednim pomieszczeniu jest pojemnik na brudną bieliznę, który po napełnieniu trafia do pralni. Pilnują tego, jak i wszystkich spraw związanych z odzieżą, bracia szatniarze. Ale każdy może sam sobie coś wyprać w palce. Drobne reperacje też wykonujemy sami. Jest pomieszczenie do prasowania... Dawniej nie trzymało się bielizny u siebie. Była specjalna bielizniarnia z ponumerowanymi półkami - każdy mnich miał swoją. Brat bielizniarz pilnował stanu posiadania każdego mnicha. Jeśli zobaczył, że coś się zużyło,

to dawał nowe. W celach nie było szaf. Potem powoli, powoli uznano, że jednak niech każdy bieliznę osobistą trzyma u siebie. Może zabrakło sensownego bieliźniarza?

A ile każdy ma habitów?

Zwykle po dwa albo trzy. Jeden jest ładniejszy - bardziej „wyjściowy”, drugi - na co dzień. Dawniej, kiedy pracowało się w habitcie na przykład w oborze, była do tego przeznaczona osobna tunika. W tej chwili mam dwa habit w jakim takim stanie, a ten trzeci już powinienem oddać do szatni, bo o jego stanie szkoda mówić. Ktoś mi już zwrócił uwagę, że wyglądam w nim jak dziad. Dawniej materiał był chyba mocniejszy, gdyż zdarzało się, że jakiś zakonnik prosił, aby go pochować w habitcie, w którym miał pierwsze kazanie. Przez czterdzieści lat habit wytrzymał i nadawał się jeszcze do trumny. Dzisiaj niekiedy po pięciu, siedmiu latach nie nadaje się nawet na potrzeby ubogiego.

Kto szyje habit?

Szyjemy u zawodowej krawcowej, zresztą mojej byłej uczennicy. To bardzo dobra krawcowa. Dzisiaj habit się trochę mniej zużywają, gdyż nie używa się ich „rano, wieczór, we dnie, w nocy”. Według Reguły należało nawet spać w tunice habitu. Dawniej prało się też samemu, korzystając z dostępnych wtedy urządzeń.

To znaczy, że ojcowie nie pracują w habitach?

Bywa rozmaicie. Obecnie jest coraz większa swoboda. Habit obowiązuje na modlitwie, przy ołtarzu, zwykle podczas posiłków. Do miasta też można się wybrać bez niego. Zakazu nie ma. Według mnie - to jest moje prywatne zdanie - zbyt często ten habit zostawiamy w klasztorze. Bardzo wielu ludzi uważa, że zdjęcie sutann przez księży i habitów przez zakonników to jeden z elementów zewnętrznego zeświecczenia Kościoła. Zaraz po soborze była moda na chodzenie „po niemiecku”: garnitur, biała koszula, a na niej pod kołnierzykiem - czarny „śliniaczek”. Dzisiaj do cywilnego ubrania używa się zwykle koloratki. Kiedyś miałem referat dla katechetów z diecezji krakowskiej i pokazałem się w garniturze. Na wejściu dostałem szalone brawa. Ale siostra Imelda, urszulanka, uświadomiła mnie: „Te brawa to nie dla ojca, tylko dla świetnie skrojonego garnituru”. Powiedziałem potem panu krawcowi: „Dostał pan brawa przy otwartej kurtynie”. Był bardzo zadowolony. Garnitur do dziś wisi w szafie, nadaje się jeszcze od biedy do włożenia.

Czy zdarza się, że ojcowie wychodzą do teatru ?

Jeśli jest ciekawe przedstawienie i gdy uzgodni się takie wyjście z ojcem opatem...

A do filharmonii?

Nie ma przeciwwskazań, ale często i filharmonia do nas przychodzi. Od ponad trzydziestu lat z inspiracji naszego organisty, profesora Mariana Machury, w kościele naszym organizowane są Tynieckie Recitale Organowe. Kilka lat temu filharmonia wycofała się jednak z tej imprezy ze względu na brak środków finansowych. Ale miłośnicy muzyki stanęli na głowie, żeby nie przerwać tradycji i obecnie koncerty finansuje Urząd Miasta Krakowa. A filharmonia i tak raz w roku raduje nas kameralnym koncertem w pomieszczeniach klasztornych.

## 10. Mnich

„Abba Besarion umierając powiedział, że mnich powinien być jak cherubiny i serafiny: cały okiem”

Może to zbyt swobodne skojarzenie, ale mnich przypomina mi komandosa - członka elitarnych oddziałów do walki duchowej. A to zwłaszcza z powodu takiego zalecenia Reguły: „Jeśli jakiś brat otrzymałby polecenia trudne lub zgoła niemożliwe do wykonania, niechaj przyjmie wówczas rozkaz z całą łagodnością i posłuszeństwem” (68, 1).

Święty Brat Albert wydał kiedyś dwóm nowicjuszom komendę: „W tył zwrot, naprzód marsz!”. I oni bez najmniejszego sprzeciwu odwrócili się w stronę otwartego okna, weszli na parapet, zeskoczyli do ogródka i pomaszrowali dalej. Zatrzymali się dopiero na komendę: „Halt!”. Wówczas Brat Albert powiedział: „Z takimi się nie boję działać. Mogę wszystko, bo oni pójdą za mną wszędzie”. Ale to anegdota.

Inna anegdota opowiada, że kiedyś święta Teresa z Avila chciała sprawdzić pokorę u nowicjuszki, która pochodziła z arystokratycznej rodziny. Dla żartu kazała jej posadzić w ogródku kiszzone ogórki. Reakcja nowicjuszki zaskoczyła ją: bez zastanawiania się nad sensem takiego polecenia, zapytała Teresę tylko, czy ogórki kiszzone ma sadzić pionowo czy poziomo.

Najgorzej jest, jak mówił ojciec Dominik, gdy ktoś jest głupi i posłuszny. Posłuszeństwo to cnota, pod warunkiem, że jesteśmy otwarci na drugiego człowieka. „Choćby mnie zabił, ufać mu będę” - mówi Hiob. Za ukochanym pójde w ogień i wodę. Taka wierność nie zwalnia nas jednak z myślenia, jeśli nie chcemy, by ostatecznie stała się naiwnością. Dlatego święty Benedykt, mówiąc w Regule o poleceniu niemożliwym do wykonania, od razu zaznacza: gdyby ktoś taki przekonał się, „że ciężar tego zadania przekracza całkowicie jego siły, niech cierpliwie i w chwili stosownej przedstawi przełożonemu przyczyny swojej niemożności, jednak nie okazując pychy, nie sprzeciwiając się jego woli ani nie odmawiając jej spełnienia. Jeśli po tym wyjaśnieniu przełożony rozkaz swój nadal utrzyma, podwładny musi wiedzieć, że tak właśnie jest dla niego dobrze. Niechaj więc będzie posłuszny z miłości, ufając w pomoc Bożą” (68, 1-4). Naturalne, że wtedy człowiek pyta się: Panie Boże, o co Ci chodzi? Przełożonemu może chodzić o wykorzenienie pychy u podwładnego, który za bardzo ufa swoim możliwościom. Dając mu zadanie ponad siły, pozwala mu doświadczyć własnych ograniczeń. Zauważmy też, że aby się ciągle rozwijać, powinniśmy podejmować zadania odrobinę przekraczające nasze możliwości. Czasem wydaje się nam, iż czegoś nie potrafimy, bo są w nas jakieś zahamowania czy kompleksy, i wtedy takie zadania, wydawałoby się, niemożliwe do wykonania, ale podejmowane z pełnym zaufaniem do przełożonego, okazują się możliwe.

Wykonując takie trudne polecenia, powinniśmy się jednak wystrzegać pewnej pokusy.

Jeśli mamy świadomość, że polecenie nie jest zbyt mądre, albo przypuszczamy, iż przyniesie skutki, których przełożony dobrze nie przemyślał, korci nas, by powiedzieć sobie w duchu: dobrze, wykonam to polecenie najdokładniej, jak potrafię, a wtedy przekonasz się sam, jak bardzo się myliłeś. Takie myślenie niewiele ma wspólnego z duchem posłuszeństwa, przeczy również braterskiej miłości. To coś na kształt strajku włoskiego - wiemy, że takie dokładniusiennie przestrzeganie przepisów jest często bardziej dla pracodawcy niekorzystne niż przerwanie pracy.

Czy Ojciec otrzymał kiedyś takie trudne do wykonania zadanie?

Nie przypominam sobie, ale czasem zdarzało się, że otrzymywałem jakieś nie do końca przemyślane polecenia. Kiedyś pewna wspólnota zaprosiła mnie na oplatek. Zapytałem

przełożonego, co mam napisać w odpowiedzi. „Proszę odpisać, że klasztor nie jest zgromadzeniem księży jeżdżących na opłatki” - odpowiedział nieco zniecierpliwiony. Odpisałem więc, że klasztor nie jest zgromadzeniem księży jeżdżących na opłatki, choć w bardzo kurtuazyjnym tonie. Po kilku dniach przełożony zapytał mnie o adres tej wspólnoty, gdyż zreflektował się i sam chciał odpisać - odpowiedziałem z niewinną satysfakcją, że już zrobiłem tak, jak ojciec przeor nakazał. Nie dodałem celowo, iż odpisałem w tonie, który w niczym nie uwłaczał przeorowi ani klasztorowi.

Jan Paweł II, analizując w katechezach o małżeństwie biblijną opowieść o stworzeniu człowieka, zwraca uwagę, że Adam - zanim w Ewie odkrył towarzyszkę życia i powołanie do wspólnoty - doświadczył pierwotnej samotności pośród świata. Ta samotność bezpośrednio odnosi go do Boga i świadczy o tym, że człowiek wyrasta ponad świat widzialny. Czy życie mnicha ze swej najgłębszej istoty nie ma nam nieustannie przypominać, że fundamentem wszelkich naszych relacji z innymi i ze światem jest właśnie owa samotność przed Bogiem?

Życie zakonne nie przekreśla relacji międzyludzkich. Na przykład żywoty świętych Bazylego i Grzegorza z Nazjanzu ukazują ich głęboką przyjaźń. Obaj przypominali papużki nierozłączki - byli zjednoczeni i w myśleniu, i w działaniu, zawsze wzajemnie się wspierając. Z drugiej strony, mnich patrzy na świat przede wszystkim pod kątem życia wiecznego. „Śmierć miej zawsze w podejrzeniu”, jak jest napisane na jednym z obrazów w naszym klasztorze: *Mortem suspectam ante oculos habere*. Patrzę na śmierć jak na podejrzaną, która w każdej chwili może mną zawładnąć. Wiemy wszyscy, że skazani jesteśmy w życiu na momenty całkowitej samotności. W godzinie śmierci człowiek jest przeraźliwie samotny, podobnie - w bólu. Nikt nie jest w stanie pojąć, co i jak wtedy przeżywamy. Drugi człowiek może być koło mnie, towarzyszyć mi, ale trudno mówić wtedy o pełnej wspólnotcie opartej na wzajemności. Dotyczy to nawet bliskich sobie osób. Jeśli całe nasze życie jest, w pewnym sensie, przygotowaniem do śmierci, to trzeba pomóc człowiekowi oswoić się z tą samotnością. Dostrzec w niej niezwykłą okazję doświadczenia Boga. Śmierć jest tajemnicą - można patrzeć na nią jako na ostateczną klęskę, ale można też dostrzec w niej spełnienie życia w spotkaniu z Bogiem. I dlatego zawsze: „pamiętaj o tym, że umrzesz!”. Oczywiście nie chodzi o to, by wzbudzać w sobie lęk, ale by przeżywać życie bardziej świadomie.

I o tym ma nam przypominać życie mnicha?

To jest paradoks w ogóle chrześcijaństwa, życie zakonne czyni go jedynie bardziej wyraźnym. Z jednej strony chrześcijaństwo wskazuje na olbrzymią wartość wspólnoty budowanej na miłości, a z drugiej - ta wspólnota ma o tyle wartość, o ile pomaga człowiekowi być samemu przed Panem Bogiem. Atmosfera życzliwości i miłości bliźniego stwarza klimat, dzięki któremu człowiek może być sam na sam z Bogiem. Naszym najpilniejszym zadaniem, które trwa całe życie, jest być z Panem Bogiem. Dlatego życie tak należy „ustawić”, żeby wspólnota pomagała człowiekowi tę jedyną, wyjątkową więź z Bogiem nawiązać i całe życie pogłębiać. To jest celem życia. Moja więź indywidualna z Bogiem będzie zarazem więzią wspólnotową, bo ludzie zbliżający się do Boga, jako do centrum, wszyscy zbliżają się jednocześnie do siebie nawzajem. Nie można zbliżyć się do Pana Boga, nie zbliżając się do innych. W Polsce zdumiewa masa pobożnych ludzi, którzy się ze sobą żrą i wzajemnie nienawidzą. To taka religijna schizofrenia.

Powiedział Ojciec, że doświadczenie cierpienia jest nieprzekazywalne - cierpimy i umieramy w samotności. A jednak im dojrzała miłość, tym chyba głębsze także współodczuwanie. Wielka miłość potrafi być blisko cierpienia. Następca św. Dominika, bł. Jordan z Saksonii, pisał z przejściem do bł. Diany, którą szczerze kochał, że boli go jej skręcona noga...

Im bliżej jestem drugiego człowieka, tym bardziej mu pomagam w przeżywaniu jego samotności. Jeśli nawet ta skręcona noga nie przestaje fizycznie boleć, świadomość

współczucia kochanej osoby sprawia, że duchowo Diana czuje się umocniona w przeżywaniu cierpienia. Jest samotna wobec cierpienia, ale nie osamotniona - to ważne rozróżnienie.

Wspomnił Ojciec, że wspólnota powinna pomagać trwać przed Bogiem. Co jednak wtedy, gdy zamiast pomagać, raczej przeszkadza? Posłuchajmy, jakie rady na wewnętrzne konflikty daje św. Benedykt w Regule: „Bracia niechaj będą posłuszni sobie nawzajem, wiedząc, że właśnie drogą posłuszeństwa mają iść do Boga. (...) Młodszy powinni słuchać starszych z całą gotowością miłości. Gdyby jakiś brat okazał się krnąbrny, należy go skarcić. (...) Jeśli brat domyśli się lub spostrzeże, że stał się przyczyną nawet niewielkiego gniewu przełożonego, niech zaraz bez zwłoki padnie na ziemię i aby zadośćuczynić za błąd swój, tak długo u stóp jego leży, aż otrzyma błogosławieństwo, które to wzburzenie uspokoi” (71, 1-8). Od strony psychologicznej jest to, myślę, dobry pomysł: przełożony nie ma wyjścia - musi się uspokoić i przebaczyć...

...pominawszy techniczną sprawę padnięcia na ziemię. Dzisiaj po prostu skłaniam z uszanowaniem głowę i mówię, że rzeczywiście zrobiłem źle i proszę o pokutę. To się w praktyce życia zakonnego sprawdza - mieczem jest bardzo trudno przeciąć poduszkę, natomiast łatwiej - kamień, nie mówiąc już o drzewie. Jak stoję się taką „miękką poduszką”, to od razu wykluczam napięcie i element walki. Wybieram prawdę, zamiast się bez końca tłumaczyć, upierać czy wojować. Jeżeli natomiast swoją postawą przypominam ów „kamień”, to przełożony może uderzyć „mieczem”. Czasem trzeba wyjaśnić, że coś przekroczyło moje siły. Zawsze wtedy można powiedzieć: postaram się to zrobić lepiej.

A jak sumienie podpowiada, że nie wolno mi ustąpić nawet kosztem nieposłuszeństwa - na przykład wykonać jakieś niesprawiedliwe czy szkodzące innym polecenie przełożonego ?

Wtedy trzeba huknąć pięścią w stół nawet biskupowi. Czasem wygodnie jest zamilczeć i przez to też może dziać się zło. Można grzeszyć zaniedbaniem. Przełożony nie ma władzy nakazywania czynów grzesznych. Jasne, że to może nas wiele kosztować. Kiedy podczas drugiej wojny światowej Niemcy zajęli Nowogródek, rozpoczęły się prześladowania miejscowej ludności. Siostry nazaretanki udzielały pomocy, komu się tylko dało, także partyzantom. Ktoś je musiał zadenuncjować, gdyż gestapo nakazało stawić się im na przesłuchanie. Wielu namawiało, by póki mogą, uciekały, gdyż na pewno zostaną aresztowane. Ale one wszystkie stawiały się o wyznaczonej godzinie. Na następny dzień jedenaście sióstr zostało rozstrzelanych w pobliskim lesie. Krzyż, przy którym całą noc przesiedziały zamknięte w piwnicy, jest dzisiaj relikwią w miejscowej katedrze. Chciała zgłosić się sama przełożona, ale współsiostry postanowiły iść razem z nią. I wszystkie zginęły. Zapłaciły najwyższą cenę. Ocalała tylko jedna siostra, przebywająca wówczas w szpitalu. Dramatyczna, ale jakże wymowna ilustracja jednomyślności przełożonej i podwładnych...

Benedykt wprowadza rozróżnienie: „Podobnie jak istnieje zawziętość zła i gorzka, która oddala od Boga i prowadzi do piekła, tak jest i gorliwość dobra, która oddala od grzechów, a prowadzi do Boga i do życia wiecznego” (72, 1-2). To owa dobra gorliwość ma wyróżniać mnichów.

W języku polskim mamy dwa wyrażenia, które pozwalają odróżnić zaangażowanie w dobro i zaangażowanie w zło. Gdy ktoś z pasją angażuje się w zło, mówimy raczej o „zawziętości”, a nie o „gorliwości”. W łacinie jest tylko jedno słowo: zelus - gorliwość. Gorliwość zła i gorliwość dobra. Używając słowa „zawziętość”, traci się ostrość paradoksu. Bo istnieje rozmach w czynieniu dobra, ale też rozmach w czynieniu zła. Oba mogą dech zapierać. Czasem nietrudno się pogubić - istnieją ludzie tak gorliwi w dążeniu do dobra i walce o nie, że aż biegną na skróty. Jak Machabeusze: zabić bałwochwalcę, a potem wszyscy uciekamy! Można być gorliwym, czy raczej zawziętym, w lustrowaniu aż do nieliczenia się z człowiekiem i jego godnością. Święty Benedykt, dając Regułę, chce pomóc nauczyć nas rozróżniać gorliwość dobrą od gorliwości złej. Temu ma służyć pokora, posłuszeństwo,



modlitwa, praca, ubóstwo, gościnność, a przede wszystkim braterstwo i miłość bliźniego. Píše: „Jeśli więc spieszysz do ojczyzny niebieskiej, przestrzegaj najpierw z pomocą Chrystusa tej małej Reguły, którą pisaliśmy dla początkujących” (73, 8) - hanc minimom inchoationis Regułam. „Małej”, bo napisanej dla każdego. Inne ówczesne reguły były bardzo surowe: asceci nie dojadali, nie dosypiali, stali na słupach. Święty Benedykt zlikwidował to wszystko. Chciał zaproponować coś, co zwyczajny człowiek mógłby unieść. I to się sprawdziło - najpierw na przełomie V i VI wieku, a potem na przełomie pierwszego i drugiego tysiąclecia. Jestem przekonany, że sprawdza się także dzisiaj - na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia.

## 11. Świat

„Abba Antoni, kiedy raz rozmyślał o głębokości sądów Bożych, zapytał: „Panie, dlaczego to jedni umierają we wczesnej młodości, a inni dożywają późnej starości? Dlaczego jedni są w nędzy, a inni się bogacą? Dlaczego bogacą się źli, a dobrzy są w nędzy? „. I usłyszał głos mówiący: „Antoni, pilnuj siebie samego: bo tamto wszystko to sądy Boże, i zrozumienie ich nie wyszłoby ci na dobre” „.

Na koniec porozmawiajmy o świecie z perspektywy murów klasztornych. I na ten temat znajdziemy intrygujące fragmenty Reguły. Benedykt pisze: „Klasztor zaś, jeśli to możliwe, tak powinien być zorganizowany, żeby można było znaleźć w obrębie jego murów wszystko, co niezbędne, a więc wodę, młyn, ogród, jak również różne warsztaty rzemieślnicze, tak by mnisi nie musieli włączyć się na zewnątrz, co nie przynosi zgoła pożytku ich duszom” (66, 6-7). Czy świat stanowi zagrożenie, a klasztor jest takim bezpiecznym azylem?

Mnie się wydaje, że nam wszystkim - i zakonnikom, i ludziom świeckim - potrzeba takiej bezpiecznej przystani, która może stanowić dla nas oparcie i wytchnienie. Czy to będzie klasztor, czy dom rodzinny. Ale to zalecenie świętego Benedykta można odczytywać też bardziej konkretnie: jeśli ktoś za bardzo lubi przebywać poza klasztorem, to może to oznaczać po prostu zmęczenie życiem zakonnym. Ojciec Mateusz mówił, że nie ma nic nawet przeciwko przyjaźni mnicha z kobietami pod warunkiem, że w klasztorze czuje się on u siebie - dowartościowany i doceniony. Jeśli jest napełniony i przepełniony duchem życia klasztornego, każde spotkanie w świecie może być pożyteczne i dla niego, i dla spotkanych osób. Natomiast jeśli w klasztorze czegoś brakuje, nie tylko wody, mąki czy jabłek, ale czegoś z atmosfery duchowego źródła, a zwłaszcza miłości i wzajemnej akceptacji, wtedy wychodzenie na zewnątrz będzie nieużyteczne i niebezpieczne. Naprawa powinna się zaczynać od samych mnichów, bez szukania pociechy i wytchnienia na zewnątrz.

Ten lęk przed światem jest jednak w Regule bardzo wyraźny. Benedykt nakazuje mnichom powracającym z podróży rzucić się na ziemię w oratorium i prosić wszystkich o modlitwę. A to ze względu „na błędy, które mogli popełnić w drodze, słysząc lub widząc jakież złe rzeczy lub wdając się w próżne rozmowy”. To jeszcze nie wszystko: „Niech nikt nie waży się opowiadać drugiemu, co widział lub słyszał poza klasztorem, ponieważ jest to bardzo szkodliwe” (67, 4-5). Pobyt poza klasztorem mógł więc, w mniemaniu Protoplasty, tylko mnichom zaszkodzić.

Ciekawe, że obecnie często na rekreacji niedzielnej ojciec opat prosi tych, którzy powrócili z jakiegoś interesującego wyjazdu, by opowiedzieli o swoich doświadczeniach. Na zalecenia Benedyktowe trzeba patrzeć w kontekście historycznym. Wtedy były inne czasy. Benedykt zdawał sobie sprawę, że nie zreformuje całego świata. Chciał uporządkować choćby tę małą przestrzeń klasztoru, by uczynić z niej Boży azyl. Stąd ta surowość. Pamiętajmy też, że w Piśmie Świętym świat jest postrzegany w dwojaki sposób: jako dobry, bo stworzony przez Boga, i jako zły, bo poprzez ludzką wolę oddany pod panowanie grzechu - owych trzech pożądliwości: oczu, ciała i pychy żywota. Nie widać u świętego Benedykta potępienia świata jako stworzenia Bożego. Natomiast jest przestroga przed „duchem tego świata”. W życiu zakonnym chodzi o to, żeby być przydatnym dla świata, ale nie przesiąkać jego duchem. Ludzie żyjący w świecie mają czasem tego dosyć - ciągle rozproszenie, pogoń za nie wiadomo czym, cała masa chaotycznych bodźców, stykanie się ze złem na każdym kroku. Wszyscy przyjeżdżający do Tyńca zauważają, że tu jest oaza, w której panują spokój, cisza, bezpieczeństwo - inne relacje niż w świecie. Świętemu Benedyktowi zależy na

zabezpieczeniu owego benedyktyńskiego pokoju. To nie jest pokój bierny - sadzawka zasnuta rzeszą, w której wszystko kiśnie, tylko duchowe źródło dające życie, bo jest nastawione wyłącznie na Pana Boga. Takie źródło, jeśli je zmacimy, przestaje pełnić swoją rolę. Ludzie żyjący w świecie często skarżą się, że wiele rzeczy przeszkadza im zajmować się Bogiem.

Przeszkadza tylko grzech, a przecież nikt nie odważy się powiedzieć, że mnisi są całkowicie od niego wolni. Nie ma spraw, działań czy problemów w świeckim życiu, których nie można byłoby powierzać Bogu i które z natury oddalałyby od Niego. Dopiero w XX wieku wyraźniej zaczęto dostrzegać, że każda czynność, obojętnie jak prozaiczna czy „świecka”, może być dokonywana w Bożej obecności.

Sobór Watykański II przypomniał, że zadaniem każdego chrześcijanina jest uświęcać świat. Jednocześnie ludzie, którzy przyjeżdżają do Tyńca, nie chcieliby, aby stał się on zwykłym hotelem. W świecie zlaicyzowanym szukają ładu, pokoju i siły wewnętrznej. Mleko zsiądzie się wtedy, gdy się go nie bełta. Podobnie Tyniec straciłby swój „smak”, gdybyśmy, przesiąkając duchem świata, porzucili mnisi sposób życia. Chcemy więc służyć światu w ten sposób, żeby ci wszyscy, którzy są światem zmęczeni, mogli znajdować u nas Boże pokrzepienie (zgodnie ze słowami Jezusa: „Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię”, Mt 11, 28). Rzeczywiście, przychodzą ludzie utrudzeni i obciążeni. Narzeka się, że trudno jest znaleźć siły, by wszystkie świeckie czynności kierować ku Bogu. Nie ma czasu na modlitwę, na życie religijne. Często życie religijne przy obecnym tempie zaczyna przypominać trochę „kwiatek do kożucha”. Reguła i duch monastyczny uczą nie tyle sposobów postępowania, co życia w Bogu. „Czy jecie, czy pijecie, czy cokolwiek innego czynicie, wszystko na chwałę Bożą czyńcie” (1 Kor 10, 31) - zaleca św. Paweł. Ludzie powinni żyć tym duchem, który prezentują mnisi, a ponieważ nie każdy jest do tego zdolny, niech ci, co potrafią, pomagają innym. Wszyscy powinni być trzeźwi, ale w dzisiejszych czasach trudno ludzi do tego namówić. Niech więc przynajmniej niektórzy żyją w całkowitej abstynencji, żeby być punktem odniesienia dla tych, którzy dostrzegają w tym siłę i sens.

Wyobraźmy sobie zatem, że nagle wierzący zaczynają żyć tak jak mnisi, to znaczy radykalnie wyrzekają się własności i własnej woli, podejmują celibat - Kościół przestałby istnieć w ciągu jednego pokolenia! Wydaje mi się, że nie chodzi o kopiowanie sposobu życia. A mimo to Reguła jest intrygująca także dla ludzi świeckich. Zastanawiam się dlaczego?

Biznesmeni czytają Regułę nie po to, żeby porzucić swój biznes i stać się mnichami. Dosłowność życia mniszego jest receptą na życie tylko dla tych, którzy czują takie powołanie. Istotny jest kierunek, a każdy idzie przecież po swojemu. Święty Grzegorz Wielki wyjaśnia w „Regule pasterskiej”, że konkretna realizacja Ewangelii w życiu inaczej będzie wyglądać u żołnierzy, inaczej u ludzi uczonych, u małżonków, u mnicha czy u biskupa. Każdy musi na swój sposób dochodzić do Boga. Stać Pana Boga na to, żeby stworzyć każdego człowieka zupełnie innego. Do tej samej ziemi wpadają ziarenka maku, chabru, dębu, lilii, zboża. Jeśli wrzucam do ziemi różne ziarna, to nie po to, żeby wyrosły same dęby. Jesteśmy Bożą rolą.

Każdy z nas inaczej dochodzi do Pana Boga. Tych dróg jest zatem nieskończona ilość. Tak więc będzie zależeć od mojej indywidualności uchwycenie tego czegoś, co w moim wnętrzu stanowić będzie o relacji do Boga. A mnisi mają cenną i pewną pomoc, jeśli zachowują wiernie Regułę. Świadomi tego dzielą się jej duchem z tymi, którzy pozostają w świecie.

Czyli uniwersalny jest duch Reguły, a nie jej formuła?

Formuła nie pasuje do świeckiego życia, ale duch Reguły jak najbardziej. Przecież wiele przepisów sformułowanych przez świętego Benedykta straciło dzisiaj swoją aktualność, o czym wiele razy już wspominaliśmy. Przez półtora tysiąca lat zmienił się kontekst. Regułę interpretuje się w każdej sytuacji historycznej trochę inaczej, ale wciąż pozostaje ten sam duch wsluchiwania się w Boży głos i posłuszeństwo, czyli to otwarcie się na Boga i na

drugiego człowieka w imieniu Pana Boga. Otwieram się na każdego, kto ma mi coś do powiedzenia w imieniu Pana Boga. Niezależnie, czy to poprzez zakonne posłuszeństwo, czy na przykład małżeńskie partnerstwo. Budujemy w ten sposób pokój benedyktyński, czyli ład na świecie, naruszony przez nieposłuszeństwo, czyli odwrócenie się od Pana Boga.

Nigdy klasztory nie były pomyślane jako wpatrzone w siebie egoistyczne centra. To prawda, jestem wolny od wielu kłopotów zewnętrznych, nie mam rodziny, nie muszę sam zarabiać. W klasztorze ten, kto zarabia pieniądze, sam ich nie wydaje. Kto wydaje, nie musi z kolei troszczyć się o zarabianie. Normalnie w rodzinie trzeba i zarobić, i wydać, i zakrzętać się jeszcze wokół tego, co się kupi. Wyjeżdżam na rekolekcje, napiszę książkę, dostanę pieniądze i nie obchodzi mnie już to, co z tymi pieniędzmi zrobić, czy mi starczy na jedzenie, czy nie. Ten, który robi zakupy, dostaje od szafarza pieniądze i też się nie martwi. To ma dobre i złe strony. Dlatego ojciec opat Placyd mówił: „Jeśli mnich żyje w swoistym napięciu pomiędzy nastawieniem na Boga a nastawieniem na drugiego człowieka, jest dobrze. Gdy tego nie ma, zakon może zacząć przypominać fabrykę Forda”. Całe życie przykręcam jedną śrubkę, nawet nie rozumiejąc, jaki to ma sens.

Jest czymś oczywistym, że nie sam habit czyni mnicha. Także w habitcie można być łobuzem. A jednocześnie jest wyraźnym znakiem. Habit czy sutanna, a nawet choćby koloratka to weksel, który zawsze musi mieć pokrycie. Mnich nie powinien w świecie ukrywać tego, że jest mnichem. Przecież ma być świadectwem wartości w zlaicyzowanym świecie. O czym więc mówi regularne chowanie swojego prawdziwego (oby!) „ja” pod zasłoną świeckiego ubrania, by się w tej masie, broń Boże, nie wyróżnić, a może nie zdekonspirować?

Jeśli strój zakonny ma być znakiem, to marzy mi się, by habity - zwłaszcza siostr - były bardziej radosne. Wygląda to trochę tak, jakby siostry całe życie nosiły po kimś żałobę...

Chyba ważniejsza od koloru habitu jest postawa i wyraz twarzy osoby zakonnej. A zresztą nie wszystkie zakony mają czarne habity. Świętemu Benedyktowi chodziło przede wszystkim o to, by strój mnicha nie był kusy i by nie był drogi. Nawiasem mówiąc, nie widziałem jeszcze siostry zakonnej w poplamionym habitcie, natomiast zakonników, owszem, niekiedy nawet, gdy patrzyłem w lustro...

Czym zatem różnią się te dwa sposoby życia: zakonny i świecki? Czy te różnice są tak głębokie, że świeccy powinni czuć się gorsi? Czy przeciwnie - są to powołania komplementarne, wzajemnie się wspierające do tego stopnia, że jedno bez drugiego nie jest w stanie objąć tajemnicy kontaktu Boga z ludźmi?

Zobaczmy, że już w Starym Testamencie był jeden naród wybrany, z którym Bóg zawarł przymierze, ale w jego ramach Bóg powoływał rozmaitych ludzi do różnych zadań. Byli patriarchowie, prorocy, kapłani, lewici. Te wszystkie powołania służyły temu, by cały naród wybrany nie zszedł z drogi do Boga. Podobnie jest z Kościołem - ludem Bożym Nowego Przymierza, zgromadzonym wokół Chrystusa, do którego wszyscy zostali powołani. I tutaj różne powołania, a także jego hierarchiczny ustrój, służyć mają całej wspólnoty. Dawniej kładziono akcent na rolę hierarchii. Wyglądało to nawet tak, że wierni są jakby po to, by mogła istnieć hierarchia, a jest dokładnie na odwrót - hierarchia jest po to, aby każdy, jako członek ludu Bożego, mógł czerpać z odkupieńczego dzieła Chrystusa.

Jakie jest z kolei zadanie zakonów? Kiedy popatrzymy na historię chrześcijaństwa, to zobaczymy, że zakony powstawały wtedy, gdy w Kościele pojawiała się jakaś pilna potrzeba. Benedyktyni przynieśli pokój i jedność, gdy Europa wstrząsana była niepokojami. Dominikanie pojawili się, kiedy trzeba było głosić Słowo Boże licznym wtedy jego fałszerzom. Karmelici przynieśli głęboką mistykę, gdy człowiek za bardzo zaczął zajmować się samym sobą. Kiedy chrześcijanie trafiali podczas wojen do niewoli, powstawały zakony od wykupu niewolników. Podobnie zgromadzenia zakonne prowadzące szkoły powstawały wtedy, gdy młodzieżą nie miał się kto zająć itd. Zakony to więc takie punkty odniesienia, w

których można dostrzec Bożą reakcję na konkretne ludzkie potrzeby. Pewno będzie to teologicznie trochę ryzykowne, ale powiedziałbym, że Boży plan zbawienia załamał się ze względu na niewierność człowieka i wtedy Bóg wdrożył plan awaryjny - posłał Jezusa Chrystusa. Na kolejne niedostatki Pan Bóg posyła ludzi konsekrowanych. I oni muszą być jakby „spoza”, tak jak dobra ciotka, która nie musi mieszkać razem z nami, ale ma baczną uwagę na to, co dzieje się w domu i w razie potrzeby spieszy z pomocą.

Czyli życie zakonne jako takie duchowe pogotowie ratunkowe?

W pewnym sensie tak. To porównanie wskazuje na dużą odpowiedzialność zakonów.

W dokumentach Kościoła na temat życia zakonnego często pojawia się stwierdzenie, które nas, świeckich, bardzo razi. Mówi się, że osoby konsekrowane wyróżnia to, iż służą Bogu „niepodzielnym sercem”. To parafraza wypowiedzi św. Pawła, który w małżeństwie dostrzegał rozterkę między troską o współmałżonka a służbą Bogu. Wygląda na to, że małżonkowie z natury nie są w stanie miłować Boga „z całego serca”, co jest nonsensem.

Wydaje mi się, że to błędna interpretacja. Przecież Jan Paweł II często wzywał świeckich, by nie lękali się świętości. A skoro mają się nie lękać, to zakładał, że jest ona możliwa także w życiu świeckim. Jeśli dzielę swoje serce z żoną, to stajemy się w ten sposób jednym i wtedy jako jedno jesteśmy obrazem miłości Chrystusa do Kościoła. Pewne lakoniczne sformułowania bez odpowiedniego objaśnienia mogą być mylące. Dawniej rzeczywiście Kościół rozkładał inaczej akcenty. Dzisiaj bardzo dowartościowuje życie świeckie. Przypomnijmy piętno, które długi czas ciążyło na Kościele: kobieta była traktowana jako ktoś gorszy - przedmiot pożądania i źródło pokus. Zdarzało się też wykoślawione spojrzenie na małżeństwo: „No niestety, to są ludzie, których płami pożycie seksualne, w gruncie rzeczy bardzo „zwierzęce”„. Tymczasem kontakt seksualny jest materią sakramentu i nic się na to nie poradzi. Sposoby mówienia i pewna mentalność przez wieki wpływały na Kościół. Na szczęście - ewoluowały. Dzisiaj są już przeszłością. Choć niekiedy powtarza się mechanicznie pewne sformułowania.

Jeśli mnich nie wypełnia tego, do czego został powołany, na przykład zaniedbuje oficjum, to ma serce podzielone między Boga a własne lenistwo. Tak samo można powiedzieć o świeckim, który zaniedbuje swoje obowiązki względem rodziny.

Podzielone serce może mieć zatem i mnich, i człowiek świecki. Natomiast obaj powołani zostali do tego, żeby kochać Pana Boga z całego serca.

Ja w zakonie też wezwany jestem do tego, by nie lękać się świętości. Nie trzeba się lękać niepodzielnego serca, oddanego całkowicie Bogu. A ludzie się boją. Czasem żyjący w celibacie rekompensują sobie brak życia uczuciowego jedzeniem, podrózkami albo alkoholem. I wtedy serce też jest podzielone.

Mnich swoim sposobem bycia zwraca nam, świeckim, uwagę na głębszą stronę życia, na duchowość, wskazuje kierunek. A czy świecki, żyjąc w świecie, może czymś obdarować mnicha?

Od początku istnienia zakonu benedyktyńskiego było wiadomo, że mnisi nie są całkowicie samowystarczalni. Świeccy otrzymywali od nich opiekę duchową, schronienie przed nieprzyjaciółmi, kulturę. Natomiast mnisi wspomagani byli pomocą materialną. Zauważmy także, że, począwszy od Piotra Apostoła, świeccy proszeni są o modlitwę za dzieła apostołskie. Mnich modli się za świat i jednocześnie sam prosi świeckich o modlitwę, by wytrwał w swoim powołaniu - to jest taka nieustanna duchowa wymiana. Poza tym często życie w świecie wymaga heroizmu, o którym my, zakonnicy, możemy nie mieć pojęcia. Mnie, celibatariuszowi, nie rozchoruje się żona, nie stracę dziecka w wypadku samochodowym, nie wymówią pracy - nie poznam tych doświadczeń. Często świeccy swoim świadectwem pomagają nam wytrwać w powołaniu zakonnym. Bardzo wiele korzystam, słuchając wyznawania grzechów. Jestem często oszołomiony religijną dojrzałością ludzi świeckich: niektórzy spowiadają się z takich niedoskonałości, że mnie by nawet przez myśl

one nie przeszły. Reguła życia małżeńskiego wydaje się miejscami nawet bardziej wymagająca od zakonnej. Poza możliwością seksualnego realizowania miłości międzyludzkiej nie daje ona żadnych ulg. Choćby ubóstwo - borykanie się małżonków z różnymi problemami materialnymi, posłuszeństwo - niech małżonkowie spróbują być sobie nawzajem nieposłuszni, to się małżeństwo szybko rozleci. Podobnie czystość - pokusy dzisiaj napierają zewsząd. Zakonnicy, którzy mają szerokie spojrzenie, nigdy nie będą wynosić się nad świeckich. Potrzebujemy siebie nawzajem - żyjemy w symbiozie. A powołanie do takiego czy innego stanu daje Bóg, i każde powołanie ma doprowadzić do świętości.